BIBLIOTHECA UNIV. JAGELL. CRACOVIENSIS
B 270657
ZN I

NOWELKI

— CZYLI —

Wesołe i krótkie powiastki



A. A. PARYSKI,
Toledo, Ohio
1913.

NOWELKI

NOWELKI

— CZYLI —

WESOŁE I KRÓTKIE POWIASTKI

DLA STARSZYCH.

Biblioteka Jagiellońska
1000602931

1913

BIBLIOTHECA VNIV. IAGIELL. CRACOVIENSIS

B 270657

2r B

Szymon Deptuła
emigrant z Polski
w darze
Bibliotece
Jagiellońskiej

Bibl. Jagiell.
2002 D 166/164

KUZYNKA KLARA.

Państwo Dolliver pośpiesznie jedli śniadanie, aby wyjechać automobilem za miasto i dni kilka spędzić wśród pól i lasów. Były to ostatnie dni gorącego lipca i młodzi małżonkowie cieszyli się że będą je mogli spędzić we dwoje tylko, zdala od dusznego i gwarnego miasta.

W tej chwili rozleg ł się dzwonek telefonu.

— To pani Chuver pyta, czy może zajść do państwa — objaśniła służąca. — Bardzo się śpieszy i zostanie tylko chwileczkę.

Młodzi Dolliverowie zamienili zakłopotane spojrzenia.

— Naturalnie, odpowiedz, że prosimy — rzekła Madzia po chwili namysłu. A zwracając się do męża dodała — czy nie dobrze by włożyć płaszcz i ka-

pelusz przed jej przyjściem, czy też będzie to zbyt wyraźnie...

— Ależ co znowu — odparł. — Tylko na nic to nie posłuży. To jej strategiczny podstęp.

— O Stefanie — zaprotestowała żona, nie mogąc jednak powstrzymać się od uśmiechu. — Ona jest taka miła i dla nas życzliwa.

— Och, któż w to wątpi. Tylko na miłość Boską, Madziu, nie podtrzymuj rozmowy i nie zaproś ją do automobilu.

Pani Chuver była osobą w średnim wieku, której włosy przyprószyła już siwizna. Miała na twarzy zawsze słodki uśmiech i śpiewny przesadzony ton gosłu.

— O, droga pani — zawołała wchodząc i wyciągając obie ręce. Pani mi wybaczy, że przyszłam tak nie w porę? Państwo wyjeżdzają... widziałam przed domem automobil. I ja nie zatrzymuję państwa, ani chwilki. Sama strasznie się spieszę. Bo dziś otrzymałam depeszę, że przyjeżdża kuzynka Klara i statek dopłynie do portu za godzinę. Muszę więc tam być, aby ją spotkać.

— Do portu, w taki upał! O jakże mi żal pani! — zawołała Madzia.

— Tak to nie jest przyjemnie. I przy tem tak nieoczekiwane. Musiałam się tak spieszyć z przygotowaniem wszystkiego, bo może sobie pani wyobrazić co to za kłopot w mojem malutkiem mieszkanku, szczególniej przy takim upale —westchnęła, ale natychmiast słodki uśmiech rozjaśnił znowu jej twarz. — O proszę, nie zrozumiejcie mnie państwo źle, ja jestem zawsze szczęśliwą, kiedykolwiek odwiedzi mnie kuzynka Klara. Ona była ukochaną siostrą mamusi i to taka słodka, delikatna staruszka. Ale gdyby państwo nie byli dwojgiem takich kochanych ludzi, zazdrościłabym im przewiewnego, rozkosznego apartamentu. Naturalnie, nie ze względu na siebie, ale na kuzynkę Klarę. Nie sądźcie jednak proszę, że się skarżę, tak mi przyjemnie, że mogę podzielić się z nią wszystkiem co mam.

— Ależ pani mieszkanie jest wprost urocze — przerwała serdecznie Madzia.

— Nie nazywaj tego droga pani mieszkaniem! To mieszkanko zresztą zu-

pełnie dla mnie wystarczające. I jestem taka szczęśliwa — dodała uśmiechając się znowu z miną mężnej ofiary.

— I uszczęśliwia pani innych — wtrącił Dolliver.

— Nie tak często i nie tak wiele, jak tego bym pragnęła — odparła i uśmiech jej stał się melancholijnym. Jedyna prawdziwie smutna strona biedy to, że tak mało można robić dla innych. I właśnie zazdroszczę państwu dla tego tylko mieszkania, automobilu i wszystkiego co daje bogactwo. A państwo tak po królewsku rozdajecie je na wszystkie strony. Musicie być bardzo szczęśliwi.

O tak — rzekła Madzia, spoglądając z pełnym miłości uśmiechem na Stefana. A on ujął serdecznie jej rękę. Spojrzawszy jednak na zaszłe łzami oczy pani Chuver odsunęli się od siebie.

— Ale ja państwa nie zatrzymuję — zawołała pani Chuver ze swym mężnym uśmiechem. —I sama zresztą muszę spieszyć do tramwaju.

— Do tramwaju w taki upał —zawołała Madzia ze współczuciem.

— Tak, to najprędszy sposób dostania się do portu. Przyznaję, że nie najprzyjemniejszy, ale tacy jak ja żebracy nie mają wyboru. Najwięcej to mnie martwi, że kuzynka Klara też będzie musiała wracać tramwajem. Ale nie chcę psuć państwu tak miłego dnia mojemi zmartwieniami. Do widzenia, drodzy państwo, do widzenia.

— A czy ma pani bilet wejścia do przystani? — zapytał Dolliver, zatrzymując jej rękę.

— Bilet wejścia? — powtórzyła zdziwiona.

— Nie wpuszczą pani do miejsca gdzie wysiadają podróżni, póki nie zaopatrzy się pani w pozwolenie od dyrekcyi portu — objaśnił.

— O Boże najmilszy! co ja teraz zrobię. Nie mam już czasu starać się o pozwolenie. A ja muszę być w przystani. Kuzynka Klara jest staruszką i taką delikatną, niezaradną. Ale oni może mnie wpuszczą?

— Boję się, że nie, chyba ja... zawahał się i spojrzał pytająco na żonę, która twierdząco skinęła głową — Mo-

że ja w tem pani dopomogę. Czy pani ma przy sobie telegram kuzynki?

— Tak, włożyłam go tu gdzieś do torebki.

I pani Chuver poczęła przerzucać i wyrzucać z torebki całą jej zawartość, aż w końcu wyjęła z tryumfem pomięty niebieski papierek.

— Bardzo dobrze — rzekł Stefan — myślę, że gdy im to pokażę, wytłómaczę i podam mój bilet wizytowy, to nie będą nam robili trudności. Pomogę przy tem kuzynce pani przy rewizyi bagażów i odwieziemy panie obie do domu.

— Pan jest prawdziwym aniołem, ale ja nie powinnam z tego korzystać — odparła, ale widać było, że z chęcią przyjmuje propozycyę. — Boję się, że to popsuje państwu popołudnie.

— Ależ nie — zapewnił uprzejmie Stefan. — Wyjedziemy tylko o godzinę lub dwie później. To jest chyba, że.... kuzynka pani ma bardzo dużo bagażów do oclenia?

— O nie, to taka skromna osóbka...

.. ..

Przyjechali do portu akuratnie w sam

czas. Pan Dolliver postarał się, aby wpuszczono jego i panią Chuver do przystani. Madzia została w samochodzie.

Upał był nie do zniesienia. W porcie powietrze przesiąknięte było duszną wilgocią i zapachami smar.

Kuzynka Klara ucieszyła się ogromnie wiadomością, że pan Dolliver załatwi za nią wszelkie formalności na komorze. Mówiła, że chociaż wypisała bardzo dokładnie deklaracyę nowo zakupionych rzeczy, jednak nie może myśleć bez trwogi o rewizyi.

Była to mała staruszka, o łagodnych oczach, słodkim uśmiechu i cichym, zalęknionym głosie.

Stefan zamówił tragarza i postarał się, aby urzędnik celny prędko zaczął rewizyę rzeczy kuzynki Klary.

— O do licha! — wykrzyknął urzędnik spoglądając na wręczoną mu deklaracyę. — Na co pani to zrobiła?

— Co? — zapytał Dolliver.

— Czy to nie dobrze? — zaniepokoiła się kuzynka Klara. — Bardzo skrupulatnie zapisywałam wszystkie spra-

wunki i tyle trudu zadałam sobie dla tej deklaracyi.

— Ja myślę! Niech pan patrzy! — dodał urzędnik, zwracając się do pana Dollivera.

Lista była następująca:

1	woalka	0.52 dol.
2	chusteczki	0.82 "
1	paczka szpilek	0.08 "
1	pudełeczko pudru	0.61 "
12	kart pocztowych	0.24 "
20	łokci wstawki	1.18 "

I tak do nieskończoności.

— Czy pani zdaje sobie sprawę, że ponieważ pani wypisała to wszystko, to ja muszę obejrzeć rzecz każdą.

— Ale czy tak nie należy robić — pytała nieśmiało kuzynka Klara. — Czy nie takie jest prawo.

— Wiem, że zwykle łączy się kilka rzeczy pod jeden tytuł — wtrącił Stefan. — Naprzykład "przybory toaletowe 10 dolarów".

— Ależ ja nie mam niczego za 10 dolarów —oburzyła się kuzynka Klara. — I wszystko razem nie wynosi stu dolarów, tylko siedemdziesiąt sześć i pięć-

dziesiąt trzy centy. Więc nie będę potrzebowała płacić cła prawda? Ale sądziłam, że trzeba wszystko wypisać,czy nie?

— Nie ma pani sukien?— przerwał jej ostro zniecierpliwiony urzędnik.

— O nie. Nigdy za granicą nie sprawiam sobie sukien — zapewniła go pospiesznie. — Mam w kraju taką dobrą krawcową.

— Ani kapeluszów?

— Nie, to obraziłoby moją modniarkę. Myślałaby, że chcę jej przez to dokuczyć. Zresztą jestem dobrą Amerykanką i popieram przemysł krajowy.

— To dobrze — mruknął urzędnik, ocierając pot z czoła — musimy więc zabrać się do przeglądania wypisanych przedmiotów. Zaczynajmy.

Jedno po drugiem wyjmował z kuferków rozmaite drobiazgi, czyniąc to jak można najszybciej.

Nagle zastanowił się nad jakąś łyżeczką.

— Co to jest? — zapytał. — Łyżeczka — siedem dolarów i dwadzieścia siedem centów. Co to za łyżeczka?

— To zwyczajna, stara, srebna łyżeczka — odparła słodko kuzynka Klara. — Kupiłam ją w Londynie.

— Antyk?

— Nie, nie sądzę, aby ją można nazwać antykiem. Nie jest dosyć stara.

— Ale pani kupiła ją nie do użytku ale jako rzecz starą, wartościową.

Kuzynka Klara zaczerwieniła się, ale odparła cicho.

— Nie, przeciwnie, potrzebna mi do herbaty.

Urzędnik westchnął ciężko.

— W takim razie — rzekł — podchodzi pod kategoryę sprzętów domowych i musi pani opłacić cło.

— Ile proszę pana?

— Nie wiem, ale nie dużo. W każdym razie jednak dosyć, aby mieć przez pół godziny ambarasu.

— Wiele już mam doświadczenia — mruknął do Dollivera — ale nic podobnego nie widziałem. Z takim sumieniem, to trzeba się obchodzić, jak z jajkiem.

Nie znaleziono nic więcej do oclenia

ale opłata za łyżeczkę spowodowała długą zwłokę.

Kuzynka Klara znosiła to wszystko z bohaterską cierpliwością, ale widocznie bardzo cierpiała od gorąca, bo była śmiertelnie blada.

Nareszcie wszystko się skończyło. Stefan ujął kuzynkę Klarę pod rękę i przeprowadził przez tłoczną przystań. Gdy przechodzili koło jakichś pak suknia staruszki zaczepiła się i rozdarła. Nikt tego jednak nie zauważył.

Pani Chuver i Madzia czekały na nich przed wejściem do przystani.

— Biedaku mój drogi — szepnęła Madzia, gdy szli do automobilu — na śmierć się zamęczyłeś.

— Prawie — odparł z uśmiechem — ale wcale tego nie żałuję. Ta staruszka to skarb poprostu. Tylko chyba osoby z przeszłego wieku mogą być tak uczciwe i skrupulatne. Wyobraź sobie... Ale co to? — przerwał patrząc na suknię kuzynki Klary, idącą przed nim — dziura.

— O biedaczka! W dodatku rozdar-

ła sobie suknię —rzekła Madzia ze współczuciem i przerażeniem.

— O, Stefanie! — zawołała. — Czy widzisz co jest pod spódnicą? Jakie koronki?

— Nie to niemożebne!... — przerwał Stefan. To chyba... jej halka.

Ale żona spojrzała mu prosto w oczy i zrozumieli się.

— Mój drogi — szepnęła — takie jak ona osoby nie ubierają halek weneckiemi koronkami. Jestem pewna, że cała się niemi obszyła.... Ona je przemyca, Stefanie... I dla tego, aby jej w tem pomódz, popsuliśmy sobie popołudnie!...

KTO POD KIM DOŁKI KOPIE.

— Moje uczucia nigdy się nie zmienią — uroczyście zapewnił Jerzy Benn, emeryt, kierując się ku drzwiom.

— Moja odpowiedź nigdy nie będzie inna — z przyciskiem oświadczyła pani Waters, przystojna właścicielka gospody pod "Białą Gęsią" — to dziwne, zawsze pan mi się oświadczasz po trzecim kuflu.

— Chcę nabrać przedtem ducha — tłómaczył się Benn — na przyszły raz oświadczę się na czczo.

Wyszedł z gospody, nie czekając na odpowiedź. Kroczył z głową spuszczoną, zły na świat cały; w przeciągu dwóch tygodni dostać pięć razy odkosza, to może najspokojniejszego człowieka wytrącić z równowagi. Zmęczony usiadł na trawie pod drzewem i zapalił fajkę.

Wkrótce nadszedł jakiś podróżny z węzełkiem na plecach i grzecznie poprosił

o ogień. Po zwinnych ruchach, wyprostowanej postawie, bujnych wąsach i ogorzałej cerze można było poznać żołnierza. Mógł mieć około lat czterdziestu i wyglądał bardzo krzepko. Benn zawiązał z nim rozmowę i dowiedział się, że podróżny uwolnił się właśnie z wojska i chwilowo jest bez zajęcia.

— Ciężko to będzie znaleźć jaką robotę, — rzekł z westchnieniem. Bennowi, który w tej chwili nie mógł jeszcze strawić piątego odkosza, przyszła świetna myśl do głowy.

— Słuchajcie, przyjacielu — rzekł — moglibyście łatwo zarobić pół suwerena i wyrządzić mi wielką przysługę...

— Co mam robić? — żywo podjął żołnierz.

— Być przez jedną noc bandytą...

— Czyście rozum stracili? — obruszył się tamten — ja jestem uczciwym człowiekiem.

— A to z was dopiero gorączka! dajcie mi skończyć. Będziecie bandytą na żarty. Posłuchajcie tylko.

Dał mu tytoniu ze swego woreczka i kiedy obaj zapalili fajki, zaczął mówić:

— O wiorstę stąd przy drodze stoi gospoda pod "Białą Gęsią," otóż właścicielka jej, hoża wdówka, wpadła mi w oko. Oświadczyłem się już kilka razy, cóż! kiedy mię nie chce! Perswadowałem jej, że mieszkając samotnie daleko od wsi, potrzebuje opiekuna, ale ona się śmieje, że jestem za mały na obrońcę; lubi tylko wysokich mężczyzn.

— Wysocy mężczyźni mają wogóle szczęście do kobiet — rzekł żołnierz, prostując się — kiedy służyłem w wojsku...

— Otóż ja chcę przy jednym ogniu upiec dwie pieczenie — przerwał Benn, chcę ją przekonać, że potrzebuje obrońcy i że właśnie nadaję się do tego. Czy mię rozumiecie?

— Najzupełniej. Przecież nie w ciemię jestem bity.

— Słuchajcie więc, jaki mam plan: przed północą zaprowadzę was do gospody i wpuszczę do domu przez okno. Ona zacznie krzyczeć "Ratunku"! ja wtedy przybiegnę, porwę was za kark i wyrzucę. Byłaby ostatnią niewdzięcznicą, gdyby za mnie nie poszła. I cóż? zgoda?

— Albo ja głupi dostać się za was do więzienia? — odparł żołnierz — i to za marnego pół suwerena? Niema o czem nawet gadać!

Po długich targach i namowach, Benn ofiarował dwa suwereny i zobowiązał się dać mu świadectwo na piśmie, że nie jest bandytą, tylko namówiony przez niego, udaje — bandytę.

Żołnierz ustąpił wreszcie i otrzymawszy zaliczkę, umówił się, że spotkają się w nocy za wsią.

Około dwunastej obaj mężczyźni skradali się do gospody, stojącej samotnie przy drodze. W oknach było zupełnie ciemno.

— Moja wdówka położyła się już spać — szepnął Benn — nawet służącej niema, gdyż pojechała na urlop. Nie bóicie się?

— Ani krzty! — zapewnił żołnierz, ale czy ona się nie zdziwi, kiedy nadbiegniecie zaraz na ratunek?

— Powiem, że co noc czuwam nad nią zdaleka — odrzekł Benn, to ją jeszcze więcej rozczuli... Oto wasze pieniądze.

Żołnierz zdjął buty i schowawszy do

kieszeni dwa suwereny, przez okno dostał się do kuchni. Benn stał przed domem, trzęsąc się jak galareta.

Żołnierz szedł po schodach, jak mógł najciszej. I jemu serce biło mocniej, niż zwykle. Raz tylko się potknął w ciemności, w końcu jednak namacał jakieś drzwi i poczekawszy chwilę, otworzył je. Pomimo mroku poznał, że to sypialnia i zaczął nasłuchiwać chrapania wdowy. Żaden jednak odgłos nie doszedł jego uszu.

— Albo śpi tak cicho, albo jej niema — rzekł do siebie.

Wtem usłyszał stąpanie na korytarzu i przez szparę we drzwiach zobaczył ładną i jeszcze nie starą kobietę, która w jednym ręku niosła zapaloną świecę, a w drugim dubeltówkę. Żołnierz szybko schował się do wielkiej szafy, stojącej przy kominku. .

— Pewno mi się przywidziało — odezwał się jakiś miły głos. Jednocześnie usłyszał łoskot odwodzonego kurka i zgrzyt klucza zakręconego w zamku.

— Aha! złapałem cię, ptaszku! — try-

umfująco wykrzyknęła wdowa, — jeżeli się ruszysz, to cię zastrzelę!

— Ani się ruszę — pokornie zapewnił żołnierz, — ale niech panienka nie trzyma palca na cynglu, bo może być wypadek.

— Nie jestem panienką — surowo rzekła wdowa.

— To prawda, jesteś aniołem. Zgłupiałem na widok tych prześlicznych rozpuszczonych włosów i malutkich bosych nóżek. Obuj się, piękna pani, bo się zaziębisz.

— Proszę się nie troszczyć o mnie! — łuknęła wdowa, mało widać wrażliwa na pochlebstwo — wystrzelę teraz przez okno, żeby wezwać pomocy, ale pamiętaj, zbójco że mam jeszcze drugą kulę!

— Nie strzelaj aniele, bo sprowadzisz ludzi — błagał wystraszony żołnierz — ja wcale nie jestem zbójcą i tylko na prośby pana Benna zgodziłem się odegrać tę komedyę.

— I takby wszystko się wydało — pomyślał.

— Co?! — wykrzyknęła zdumiona wdowa.

— Przysięgam ci na to, piękna pani. Na dowód wsunę ci przez szparę jego świadectwo. On czeka na mnie w ogrodzie.

W szparze między drzwiami zabielił skrawek papieru. Wdowa wyciągnęła go! z oburzeniem poznała pismo pana Benna.

"Zaświadczam niniejszem, że ja, Jerzy Benn, zdrów na ciele i umyśle, uprosiłem p. Neda Travers, żeby udał zbójcę dla nastraszenia pani Waters. Pan Travers wcale nie jest bandytą.

(podpisane) Jerzy Benn."

Oburzona wdowa wyjrzała przez okno, uchylając nieco firanki i rzeczywiście ujrzała swego wielbiciela, stojącego pod krzakiem.

— Ach! niegodziwcy! — wykrzyknęła — obaj zasługujecie na karę.

— Jakiś hak kłuje mię w głowę — biadał żołnierz — zlituj się nademną, aniele! i wypuść mię!

Wdowa szybko narzucała na siebie odzież i obuwała się.

— A jeżeli pana wypuszczę, czy przyrzekasz być mi posłusznym? — zapytała.

— Przez całe życie będę pani ślepo posłuszny!.... Aj! jak kłuje! — jęknął nieszczęśliwy Travers.

— Dam temu idyocie taką nauczkę, że popamięta ją na zawsze — oświadczyła wdowa — wystrzelę, a potem pójdę mu powiedzieć, że pana zabiłam.

— Do licha! nie chciałbym być w jego skórze — zaśmiał się Travers.

Wdowa otworzyła drzwi od szafy i nie spuszczając z ręki dubeltówki,przyjrzała się bacznie mniemanemu bandycie. Zupełnie pod tym względem uspokojona, strzeliła w komin, a potem z przerażającym krzykiem zbiegła na dół i odsunąwszy rygle od drzwi, padła prosto w objęcia pana Benna.

— Co się stało? — zawołał emeryt.

— Zbójca! — wyjąkała wdowa, wyrywając się z jego ramion — ale źle mu poszło: zabiłam go!

— Zabiłaś go! — wrzasnął przerażony Benn — biedaczysko! Pójdę go zobaczyć..

— Zostań pan tutaj! — zatrzymała go wdowa — nie chcę świadków... Całą sprawę trzeba będzie ukryć. Zakopiemy tru-

pa w warzywniku, tam za kartoflami jest kawałek ziemi.

Emeryt załamał ręce. Po co on się wplątał w to wszystko? Nie miał jednak czasu do namysłu, gdyż wdowa przyniosła motykę i gwałtem wcisnęła mu ją w ręce.

— Musisz pan wykopać duży dół, a ja tymczasem zmyję ślady krwi — rzekła zaprowadzę cię do warzywnika, tylko żebyś mi nie podeptał kartofli.

Oszołomiony emeryt szedł za nią chwiejnym krokiem, szczękając zębami jak w febrze.

— Weź się pan zaraz do kopania, a ja przywlokę trupa — oznajmiła pani Waters.

— A może on jeszcze żyje? — napomknął Benn, czepiając się cienia nadziei.

— Nie pleć pan głupstw! — fuknęła wdowa — kula trafiła w samo serce. Ani zipnął nawet.

Pobiegła do domu i ku wielkiemu swojemu zgorszeniu zastała Traversa, stojącego w oknie wychodzącem na warzywnik i trzęsącego się ze śmiechu.

— Co pan wyrabiasz? — zgromiła go

— zapominasz, że jesteś nieboszczykiem! Mógłby cię zobaczyć.

— Kiedy nie mogę się powstrzymać. Niech no pani spojrzy na niego!

Patrząc na biednego emeryta, kopiącego grób z zapałem, godnym urodzonego grabarza, wdowa także parsknęła śmiechem.

Po chwili zeszła do niego.

— Myślę, że trup się tu zmieści — rzekła, przyglądając się dołowi — teraz zmykaj pan do domu i pamiętaj, żebyś nikomu nie pisnął słówka o tem co się stało, bo na tobie mogłoby się skrupić.

Zdyszany emeryt otarł pot z czoła i mruknąwszy coś na pożegnanie, wyniósł się śpiesznie. Pani Waters patrzyła zakłopotana na głęboką jamę i górę ziemi obok niej.

— Mój grób trzeba napowrót zasypać — rzekł Travers ze śmiechem, stając przy dole — pozwoli pani, że nieboszczyk zastąpi cię w tej robocie.

Wziął się zaraz do zasypywania dołu, wdowa zaś poszła do domu, skąd niebawem zaczęła się rozchodzić apetyczna woń kawy i przysmażanej słoniny. Świ-

tało, kiedy pani Waters zjawiła się w ogrodzie i zobaczywszy zasypaną jamę, poprosiła żołnierza na śniadanie. Zajadając z apetytem chleb ze słoniną, Travers opowiadał o swoich losach.

— Dlaczego nie weźmiesz się pan do jakiej pracy? — zapytała wdowa, ujęta jego szczerością i dobrym humorem.

— Nie tak to łatwo znaleźć odpowiednią, pracę... Jedno tylko nęci mię rzemiosło — dodał, patrząc czule na rumianą, ładną twarz gospodyni — męża tak pięknej i dobrej jak pani kobiety i gospodarza tego domu.

Wdowa zarumieniła się i po chwili odrzekła:

— Przyjdź pan za tydzień; przez ten czas się namyślę.

— Przyjdę! — zawołał żołnierz, ściskając jej rękę — tożbyśmy wypłatali figla Bennowi!

ZBAWIENNA RADA.

Pani Algernon Toynbee była młodą i piękną, miała bogatego męża, uważano ją za gwiazdę towarzystwa Londyńskiego, a jednak czuła się nieszczęśliwą, bo mąż ją zaniedbywał.

Właściwie nie było to zaniedbywanie, ale rezultat życia, jakie prowadzili.

Pan Toynbee lubił wyścigi i wolał spędzać wieczory w klubie, aniżeli w domu. Ale przy tem kochał żonę może trochę w sposób "moderne", który czasami doprowadza żony do buntu. Nie rozumiał dlaczego nie zadawalniała się bogactwem i wykwintem, jakim ją otaczał i uważał ją za nierozsądne stworzenie. Czasami jej to mówił. Wtedy odpowiadała:

— Wyszłam za ciebie dla miłości, a nie dla pieniędzy.

— Więc jesteś wyjątkowo szczęśli-

wa — odpowiadał spokojnie — bo masz i to i to.

I tak rozchodzili się coraz bardziej.

W takim stanie rzeczy bardzo jest naturalnie, że zjawia się osoba trzecia, gotowa łagodzić serdeczne rany. Tą osobą był w tym wypadku jeden z tych leniwych młodzieńców o melancholijnem spojrzeniu, których jedynem zadaniem życia zdaje się być sianie niezgody między małżeństwem. Nie okazywał pani Toynbee namiętnego uczucia (to nie było jego systemem), ale niedbale mówił o swem złamanem życiu i czasami dodawał, że ona też nie musi być szczęśliwą. Ewelinie Toynbee początkowo pochlebiało to, że on się nią zajmował i w końcu samo zainteresowanie się nim, po niejakim czasie zmieniło się w przyjaźń, potem dosięgnęło uczucia miłości.

Pan Toynbee nie zauważył tego i wcale nie obchodził go stosunek żony do innych mężczyzn. Przyjaciele po cichu rozpuszczali ploteczki, ale nikt nie miał za złe flirtu pięknej kobiecie.

Aż w końcu przyszedł czas, gdy Ewelina postanowila, że trzeba coś zrobić. Obojętność jej męża doszła do zenitu, a Downey tak gorące okazywał jej uczucie, że przyszła do przekonania, iż są stworzeni dla siebie i że jej małżeństwo było błędem, którego poprawienie jest jej obowiązkiem.

Walczyła już dosyć długo. Od tej chwili będzie należała do człowieka, który ją zrozumiał i gotów dla jej miłości poświęcić wszystko. I nie może posługiwać się pół środkami. Nie będzie tajemnych schadzek i kradzionych pocałunków. Muszą uciec razem. Na szczęście nie ma dzieci, mąż nie będzie bez niej nieszczęśliwy, a więc jedyna ofiara to opinia towarzystwa.

Powziąwszy to bohaterskie postanowienie, ułożyła gorączkowo plan wykonania. Szła dziś na bal, gdzie napewno spotka Downey'a. Wyjawi mu wszystko i omówią razem całą sprawę.

Ale najpierw pojedzie do lady Barkle, swej najlepszej przyjaciółki, która zawsze była jej doradcą i przykładem w życiu. Może powie jej o rozpa-

czliwem kroku, na który się zdecydowała, ale będzie to zależało od okoliczności.

Lady Barkle była młodą i piękną kobietą, którą otaczała aureola szacunku i miłości. Na jej życiu nie było żadnej skazy. Dom umiała tak urządzić, że nie tylko darzyła szczęściem męża i dzieci, ale każdy czuł się tam odświeżonym tą czystą atmosferą domowego szczęścia. Lady Barkle przyjęła Ewelinę bardzo serdecznie. Przeczuwała, że młoda kobieta przeżywa krytyczne chwile i wiedziała, że chodzi o Downey'a, ale nie wspomniała o nim ani razu.

Pani Toynbee była zdenerwowana i podniecona. Mówiła dużo i co chwila zmieniała przedmiot rozmowy. Po obiedzie jednak, zachęcona serdecznością pani Barkle, postanowiła zwierzyć się jej ze wszystkiego.

— Po raz ostatni jestem u ciebie — zaczęła — jutro wyjeżdżam.

— Naprawdę? — zapytała jej przyjaciółka, nie okazując wielkiego zdziwienia. — Ale pewnie nie długo wrócisz — karnawał dopiero się zaczął.

— Nie, nie wrócę — odparła Ewelina, patrząc uporczywie na dywan.— — Ja nigdy nie wrócę.

— Co za rozpaczliwe słowa! Czy jesteś chora?

— Tak bardzo chora.

— I cóż to za choroba?

— Wzgarda do życia.

— O to bardzo teraz pospolite! — zaśmiała się lady Barkle. — Ale na szczęście są na to lekarstwa. Porzuć nasze świetne towarzystwo i spróbuj życia wiejskiego.

— Właśnie to postanowiłam — odparła z wahaniem. — Tylko... tylko ja nie jadę sama.

— Mąż ci towarzyszy?

— Nie, ktoś inny.

Nastąpiła chwila milczenia. Potem lady Barkle powstała i przyjacielsko położyła jej rękę na ramieniu.

— Zdaje mi się, że wiem o kim mówisz —rzekła — Cecyl Downey?

Ewelina skinęła głową.

— Czy błagał cię abyś z nim uciekła?

— Nie ja sama chcę mu to zaproponować.

Lady Barkle westchnęła z ulgą.

— No to jesteś bezpieczna, kochanie — powiedziała. — On się nie zgodzi.

Ewelina podniosła zdumione oczy.

— Ja wiem że on mnie kocha, a Algernona nic nie obchodzi, co się ze mną stanie. Kontent będzie nawet, że się mnie pozbędzie.

— Przykro mi, ale nie mogę przyznać racyi tym twierdzeniom. Cecyl Downey kocha tylko siebie, a mąż twój jest zwykłym typem męża, zupełnie bez zarzutu. Jest trochę niedbały może nawet zanadto, ale dlaczegóż ożeniłby się z tobą, gdyby cię nie kochał? Tyś nie miała ani grosza.

— Wiem żem nie miałam — odparła Ewelina ze łzami w głosie — ale ja go kochałam.

— Naturalnie i teraz go kochasz, tylko sama o tem nie wiesz.

— Nie teraz kocham Cecyla. Jesteśmy stworzeni dla siebie. Powtarzał mi to wiele razy. Dlaczego całe życie mamy być nieszczęśliwi ze względu na jakiś głu-

pi akt ślubny, który odczytano nad naszemi głowami, a którego, ani się rozumiało, ani słyszało.

— Chwała Bogu, nie wszyscy zapatrują się tak na małżeństwo. Ja osobiście uważam je za doskonałą instytucyę którą należy szanować.

— O tak, ty to co innego. Ale ja jestem tak nieszczęśliwa w domu.

— Dlaczego? Masz wszystko co potrzeba do szczęścia.

— To jest pieniądze, powodzenie i tem podobne, prawda. Ale ja chcę miłości, a pan Downey wyznał mi, że bezemnie życie jest męką.

Lady Barkle uśmiechnęła się.

— I może groził samobójstwem.

— O proszę nie kpij sobie z naszego uczucia — odrzekła ze łzami w oczach Ewelina — ono jest naprawdę świętem.

— I mam nadzieję że takim zostanie. Jeżelibyś z nim uciekła, stałoby się niemoralnem, wulgarnem i pospolitem.

— Nie -my pierwsi poświęcilibyśmy świat dla miłości.

— I jestto najpotrzebniejsze ze wszystkich poświęceń. Miłość dwojga ludzi,

która za podstawę ma tylko bunt i namiętność, jest najkrótcej trwałą. Nie będę ci mówiła kazania, najdroższa — dodała, widząc niecierpliwe poruszenie Eweliny — ale uwierz mi, że masz jedną na tysiąc szans, że po sześciu miesiącach będziesz jeszcze szczęśliwą. Dziś modnem jest mówić, że się jest znudzonym wszystkiem i wszystkimi. Wierzę, że to, iż nie będą cię przyjmować w porządnych domach mało cię obchodzi i że nie masz przyjaciół, na którychby ci zależało. Ale czyś myślała o rodzicach, którzy widzą w tobie ideał? Czyż zastanowiłaś się, że na nich także spadnie twoja hańba i że oni zamkną swe drzwi przed tobą.

— Nie, oni tego nie zrobią — zaprzeczyła Ewelina, niepewnem jednak głosem.

— W takim razie będą cię przyjmowali w sekrecie, bo nikt nie zechce spotykać się z kobietą która uciekła od męża.

— O, jakaś ty straszna! — zawołała z rozpazcą pani Toyñbee. — Ja też nie chcę się z nikim spotykać.

— Bardzo szczęśliwie, ale nie ułatwi to położenia twym rodzicom.

— Co ja mam robić?

— Czy posłuchasz mojej rady?

— Twoja rada, to zdanie kobiety, która ma władzę nad uczuciami i może mało serca.

— Dziękuję ci, droga. Może jednak mam tyleż serca co i ty, tylko trochę doświadczenia i znajomości świata i panów Downey'ów. Nie idź dziś na bal. Tam spotkasz go, naturalnie i będziesz słuchała jego sentymentalnych głupstw. Pozostań u mnie tak długo, jak tylko zechcesz, potem wróć do domu i jeżeli pana Toynbee jeszcze niema, poczekaj na niego. Gdy wróci, powiedz mu, że jesteś zmęczona Londynem i oddzielnem życiem, jakie prowadzicie. Poproś go aby zaraz wywiózł cię za granicę, lub wycieczkę na jachcie — gdziekolwiek, gdzie będziecie dużo przebywać ze sobą.

— Odmówi bez chwili namysłu — odrzekła prędko Ewelina.

— Nie, jeżeli zrobisz to umiejętnie. Wyglądasz uroczo w tej balowej sukni. Niech wróciwszy do domu ujrzy cię w całej twej piękności, a jestem pewna, że zrobi wszystko co zechcesz.

Wzmianka o uroku i o sukni balowej wywarła pożądany skutek. Pani Toynbee pomyślała w tej chwili, że odtąd nie będzie miała nigdy sukni balowej, a urok jej podziwiać będzie mógł tylko pan Downey.

— Myślę, że masz racyę — rzekła po chwili namysłu. — Winnam dać mu tę ostatnią szansę.

W kilka dni potem, czytano ze zdziwieniem wiadomość, że państwo Algernon Toynbee wyjechali do Norwegii, gdzie spędzą kilka miesięcy.

Pan Downey spotkawszy się z lady Barkle zapytał jej niedbale, czy nie wie dlaczego państwo Toynbee tak nagle wyjechali.

— Nie — odparła z uśmiechem — chyba że dlatego, iż ja jestem silniejsza od pana.

STRASZNY GOŚĆ.

Z FRANCUSKIEGO.

Na samym progu Jan Luzy, młody, fermer, jeszcze raz, ostatni raz uścisnął zimne, zziębnięte rączki Celiny — ale odejść trudno mu było.

Dawno już stali na zimowym, przejmującem wietrze, z błyszczącemi oczyma i mocno bijącemi sercami, nie zważające na zawodzenie wiatru, ani na płaty śniegu, boleśnie uderzające w twarz.

Wreszcie gdy szczególnie wściekły poryw wiatru o mało nie przewrócił Celiny, Jan silnie objął drżącą, młodą kobietę i pieszczotliwą przemocą zwrócił ją w głąb domu.

— Idź, idź, Celino... —szeptał, całując jej ręce — przeziębisz się.... lękam się o ciebie... I radośnie drgającem głosem dodał: — Do jutra najdroższa!

Jakby bojąc się, by postanowienie

rozstania się z nią znów go nie opuściło Jan szybko pobiegł.

Celina postała jeszcze kilka sekund przysłuchując się cichemu echu jego kroków po miękkim, śnieżnym dywanie i ze słodkim uczuciem radości, którą odczuwała cały wieczór, cofnęła się do mieszkania.

Tak, jutro... wreszcie! Trzeba wcześnie przygotować strój ślubny. Jutro zostanie żoną uczciwego i kochającego ją Jana, i zacznie się nowe, szczęśliwe życie, które zabliźni bez śladu rany serca, co mężnie przeniosło tyle nieszczęść i męki.

Gdy Celina skończyła przygotowania na jutrzejszy dzień, przeszła do przyległego pokoju, gdzie smacznie spał, wygodnie rozłożony na szerokiem łóżku, jej maleńki synek. Ostatni raz przepędzi z nim noc na tym łóżku, pod tym dachem.... Jutro będą mieli inny dom, jego dom gdzie będzie panować spokój i szczęście, i zadowolenie wspólnej pracy.!...

Ostrożnie ucałowała czerwone usteczka dziecka. Usiadła przed drgającym

ogniem w piecu i oddała się marzeniom o blizkiej przyszłości.

Odgłos czyichś kroków wyrwał ją z zadumy. Celina pomyślała, że pewnie któremuś robotnikowi potrzeba było wziąć coś z podwórza. Ale kroki nie oddalały się, lecz rozlegały się coraz bliżej bliżej, pod samem oknem i w końcu dał się słyszeć szelest szukanej w ciemnościach klamki drzwi wchodowych.

Strach ogarnął Celinę, podbiegła ku drzwiom, by głębiej zamknąć zasuwę, ale drzwi silnie pchnięte z zewnątrz, rozwarły się — i przed Celiną zjawiła się jakaś straszna postać, cała zasypana śniegiem.

Z pod opadłych pod ciężarem śniegu szerokich skrzydeł kapelusza ujrzała wychudzoną, zapadniętą twarz z długą, rozczochraną brodą i oczy, świecące ogniem, przebiegłe i chciwe, jak u wilka...

Śmiertelnie przestraszona kobieta nie zdołała poruszyć się, gdy dał się słyszeć gruby i zachrypnięty głos nieoczekiwanego gościa:

— Cicho, Celino... Milcz... To ja, Ludwik... Twój mąż, Ludwik... Cicho...

Gość szczelnie zawarł drzwi za sobą, potem zerwał z głowy i rzucił w kąt przemoczony kapelusz i w ostatecznem zmęczeniu opadł na krzesło przed piecem, wyciągając nogi bliżej ognia i ukradkiem spoglądając na Celinę skamieniałą ze strachu i rozpaczy, która, jak kleszczami, ścisnęła jej serce!

— Tak, to ja... We własnej osobie! Nie oczekiwałaś mnie, sądziłaś, że nie żyję... Zmartwychwstałem, jak widzisz...

O, ten głos... Jakże go pamięta!

Suchy, srogi, jakby drewniany, zawsze pełen szyderstwa... Rozbudził całą okropną przyszłość, którą ona uważała za bezpowrotnie minioną.

— Zachciało mi się się ciebie zobaczyć rozumiesz ty... — ciągnął Ludwik. — Zobaczyć i zabrać z sobą... ciebie i chłopaka... Gdzie on? Śpi? Doskonale! Pójdę zaraz ucałuję go... A ty tymczasem, żono daj coś do zjedzenia i gardło czem przepłukać... Umieram z pragnienia i głodu!...

Żono?... O, Boże wielki, prawda, prawda, — ona była żoną tego wstrętnego i złego zwierza! Jeszcze i teraz jest żoną

tego osądzonego za zabójstwo galernika!

To jedno słowo odrazu uprzytomniło całą okropność rzeczywistości, całą straszną prawdę faktu: on żyje! jest tu! To nie halucynacya, nie bredzenie gorączkowe!

Nielitościwie, jak przeznaczenie, swojem zjawieniu się zdruzgotał całe jej życie, wszystkie mające się urzeczywistnić, nadzieje...

W duszy się jej podniósł bunt. Oddać się bez walki? Jak wół, poddać swoją szyję pod jarzmo... na zawsze?!. O, nie, będzie się bronić! By obronić swoje bezpieczeństwo, marzenia o szczęściu, przyszłość swego dziecka, jest gotowa na wszystko... Schwyci oto ten nóż i uderzy nim tego nędznika, z tyłu z za pleców, wcześniej, nim on zdąży odwrócić się...

Ale tymczasem Ludwik podniósł się. spokojnie i z ohydnym uśmiechem, odezwał się, podchodząc do niej:

— Cóż to nawet, mnie nie pocałujesz? Czyż to tak przyjmuje się gościa? No, jak się masz, żono!

I objął ją jak kleszczami, swemi żylastemi ramionami; wpił się zsiniałemi ustami w jej pobladły policzek.

— Odzwyczaiłaś się?... Tak, tak rozumiem... Żałobę po biednym mężu nosiłaś... Ale o tem później pogadamy. A teraz nakarmże mnie żono, do dyabła! Z głodu mam zdychać?

Wyjął z szafy bochenek chleba, kawałek sera i ujął ten nóż, który chwilę przed tem rzucił się w oczy Celinie i na moment otumanił ją rozpaczną chęcią,— usiadł na poprzedniem miejscu i jak dawnemi czasy, zawołał rozkazująco:

— Pić, Celino!

Przybita rozpaczą, niespodziewanem nieszczęściem, które się na nią zwaliło, nie zdając sobie sprawy, co trzeba czynić i postanowić — Celina sztywno podeszła do szafy, wyjęła butelkę wina, szklankę, i jak automat, postawiła przed nim.

— Wino? Doskonale... Muszę porządnie podjeść i ogrzać się...

— Psia pogoda, a tyle świata trzeba było własnemi nogami przemierzyć....

Uciekłem rozumiesz... Daj-no dobrego wina, tego cośmy razem przygotowywali, sześć lat temu, kiedyśmy się pobrali Co, przechowało się jeszcze?

Jak przez mgłę, Celinie przypomniało się, że widziała w zachowanku butelkę tego mocnego napoju, który dawniej on brał ze sobą, wybierając się na swe nocne wyprawy. Wciąż tak samo, bez woli i tępo, jak automat, przyniosła mu wino.

Długo w milczeniu pił i jadł, chciwie. prędko dużemi kęsami i łykami; butelka podniecającego wina była już wypita, więc żądał zwyczajnego ciągle i ciągle, zmuszając Celinę, by zniosła wszystko, co się znajdowało w domu do jedzenia i picia. Rozdmuchał dopalający się ogień w piecu, dorzucił wiązkę chróstu, którą znalazł w sieni i rozgrzany, syty, bezustannie gadał, opowiadając wszystko, co przeżył w ciągu ostatnich czterech latach. Całą historyę sprytnie obmyślanego i z powodzeniem wykonanego niedawnego napadu.

Ciągle w tym samym, paraliżującym ją stanie rozpaczy i strachu, Celina, milcząc,

słuchała jego chełpliwych i cynicznych opowiadań i patrzyła, jak coraz więcej się upijał, jak czerwieniały mu policzki, wzbierały grube żyły na czole i nabiegały krwią chciwe, złe oczy, teraz zasnute pijacką dobrodusznością, jak u najedzonego do przesytu wilka.

W początku znać było jeszcze pewną oględność w jego opowiadanich, ale w miarę jak się upijał, język rozwiązywał mu się coraz więcej i w przystępie szczerości opowiadał wszystko, nie pomijając ostatniej grabieży, dokonanej ostatniemi dniami w sąsiedniem mieście.

Z ohydnemi szczegółami opowiadał, jak mu się udało zabić i ograbić bogatego skąpca, samotnego starca, sługę, i wyjmując z za pazuchy kilka grubych paczek banknotów, przesuwał je przed oczami Celiny i mówił:

— Co najważniejsze, to to, że same papiery! Bałem się, jeżeli ma w złocie, trudno byłoby wynieść. Nie papierki! Będziemy bogaci, żonko! Zabiorę ciebie i malca i pojedziemy daleko, daleko... Za ocean pojedziemy, tam żyć będziemy całą gębą!

Z zamarłym sercem ujrzała Celina, jak ciężko podniósł się z miejsca i zataczając się, kierował się ku niej, z wyciągniętemi rękoma. Nagle pośliznął się o jakiś rzucony przedtem ogryzek, ciężko się zachwiał i upadł przy samym piecu.

Celina ciągle jeszcze nie ruszała się z miejsca, nie zdając sobie odrazu sprawy, jaki dramat rozegrał się przed jej rozszerzonemi z trwogi oczyma. Widząc że długo nie porusza się, zebrała siły podeszła bliżej i... znów zmartwiała...

Ludwik leżał bez czucia. Z rozbitej widocznie o róg żelaznego pieca, skroni, ciekła krew, a od iskry z pieca zatliły się podarte łachmany na nim i ściśnięte w ręce banknoty.

Pierwszym porywem Celiny było rzucić się ku niemu, próbować ratować, o ile to jeszcze możliwe, przytłumić tlejące łachmany, podnieść go. Ale otwarte, ze szklanym wyrazem oczy, wyraźnie mówiły, że przed nią leży trup.

Gdy uprzytomniła sobie to w pierwszej chwili chciała zawołać od rozpierającej ją radości: wolna, uratowana! jak cieżki sen, zniknęło nieszczęście, dopie-

ro co grożące zagubą jej młodemu życiu i niewinnego dziecka! Galernik Ludwik, który umarł cywilną śmiercią cztery lata temu, umarł teraz rzeczywiście i nic więcej nie stanie na drodze jej nowego życia!

Ale za chwilę ogarnęła ją znów rozpacz: co będzie jeżeli ją posądzą o śmierć nieoczekiwanego, a powróconego męża? Jeżeli znajdą jego trupa i zacznie się śledztwo, w jaki sposób i czem dowiedzie swej niewinności?! O, czyż ten przeklęty zbrodniarz, który zmarnował jej młodość, ma ją zgubić na zawsze i po swej śmierci, samą swoją śmiercią?... Co się wtedy stanie z biedną, maleńką sierotą?...

Nic, nie, tak nie może być!

Zebrała wszystkie siły, zwiększone rozpaczą i wyciągnęła trupa w głuchy kąt podwórza... Tlejące na nim łachmany rozpaliły ogniem od wiatru. Przywlokła wiązki suchego chróstu i rzuciła na trupa... Potem jeszcze i jeszcze...

Całą, długą, zimową noc przestała Celina na dworze, podtrzymując swój straszny stos...

Gdy niebo pojaśniało i zbliżał się świt Celina zebrała pozostałą resztę popiołu i nieforemnych, zwęglonych kawałków zakopała do głębokiej jamy, i przemarznięta, zdrętwiała na ciele i duszy, rzuciła się do domu.

Na spotkanie jej wybiegł przebudzony chłopiec. Kurczowo przytuliła do siebie dziecko i pierwszy raz w tę straszną noc wybuchnęła płaczem....

NAUCZYCIELKA.

Niewesoła jest dola nauczycielki; a już bardzo smutna jest dola nauczycielki muzyki.

Panna Roman od szesnastego roku życia skazaną była na utrzymanie matki i siebie z dawania lekcyi muzyki.

Z początku kładła duszę w tę lekcye; w każdem dziecku widziała przyszły wielki talent, przyszłą gwiazdę; marzyła o tem, że jej uczniowie i uczennice laury zbierać będą na wszystkich estradach świata całego. Prędko bardzo rozwiały się jej nadzieje; zrozumiała, że rodzicom nie o to idzie, by zaszczepić w dzieciach poczucie piękna, rozwinąć smak artystyczny, a idzie im jedynie o to, by chłopcy mogli błysnąć w salonie, a panienki aby chwytały w przyszłości mężów na lep sentymentalnej piosenki. I panna Roman uczyła swych uczniów i uczennice melodyjnych a łatwych sztuczek, uczyła dźwięcznych walczyków,

skocznych polek, dziarskich mazurów i brała po czterdzieści kopiejek za godzinę.

Mijały lata i lat dziesiątki. Matka długo chorowała i umarła, a choroba ta i pogrzeb pochłonęły jedyny skarb biednej nauczycielki — fortepian! Dawniej, gdy znużona całodzienną pracą, wracała do domu, w muzyce znajdowała ulgę i rozkosz jedyną, a w matce pociechę i pieszczotę, zbrakło jej matki, fortepianu — życie jej stało się jeszcze smutniejsze i lichsze. A lata mijały, mijały.

Nowe zastępy nauczycielek młodych ze świeżemi siłami i modnem repertuarem— usuwały ją coraz dalej. Lekcye było coraz gorzej płatne. Panna Roman z pokoiku na pierwszym piętrze, przeniosła się do izdebki na czwartem piętrze potem z ulicy Chmielnej przewędrowała na Chłodną aż gdzieś pod rogatki. Z obiadów czterdziestokopiejkowych przeszła na piętnastokopiejkowe, potem obiadów wcale nie jadała. A działo się to wszystko tak powoli, nędza zbliżała się

do niej tak nieznacznie, że niezauważyła nawet że się zbliża.

I naszedł dzień, gdy blizko sześćdziesięcioletnia panna Roman straciła ostatnią lekcyę.

Komorne zalegało od miesiąca, wszystkie pamiątki z lepszych czasów, nawet zegarek — poszły do lombardu, a panna Roman była głodna.

Usiadła przy oknie i zapłakała. Są różne łzy, ale te są najsmutniejsze, które już ulgi przynieść nie mogą.

Ktoś zastukał do drzwi. Panna Roman otarła oczy prędko:

Może lekcya, może choć parorublowy zarobek miesięczny.

— Proszę wejść.

W drzwiach stanął mężczyzna lat około czterdziestu, w futrze z pięknym bobrowym kołnierzem.

— Jestem Antoni Brukarz. Z panną Roman mam przyjemność mówić?

— Tak jest — odpowiedziała, a w myśli przebiegła wszystkie znane osoby i nazwiska. "Brukarz" — coś pamięta, przypomina sobie. Ale kto to? Tylu uczniów, tyle uczennic miała, z ty-

loma ludzmi się spotykała w swej tułaczce nauczycielskiej.

— Czy nie przypomina mnie sobie pani? — zapytał, całując ją w rękę. — Nie? więc pani pomogę. Lat temu ze trzydzieści przechodziła pani wieczorem przez ulicę Ordynacką; przed bramą siedział syn stróża i grał sobie na fujarce. Zatrzymała się pani i wsłuchiwała w jego grę. Potem rozmawiała z nim pani. Potem Antek Brukarz przychodził do pani, uczyła go pani bezpłatnie grać na fortepianie.

— Ach, pamiętam teraz. Potem matka moja umarła, fortepian sprzedano, i musiałam Antosia przestać uczyć.

— Tak, i powiedziała pani wówczas "Antosiu, masz talent, nie marnuj talentu. Bóg który udzielił ci iskrę z Swej promiennej postaci, dopomoże ci w życiu".

— Nie przypominam sobie.

— Antoś proszę pani, mimo swoje lat dziesięć, zrozumiał twe słowa i przejął się niemi. I iskrę swoją cenił wysoko, walczył długo, bardzo długo. I po pięciu latach znalazł protektora. Wy-

jechał za granicę. Tam i nędzę i głód, znosił. Ukończył studya, bez protekcyi bez środków, materyalnych trudno się wybić. Ale Antoś pracował zarabiał grą w traktyerniach francuskich i uczył się. I znów się znalazł ktoś, kogo zainteresował grajek piwiarniany. W miesiąc później odbył się koncert na korzyść młodego pianisty Brugard'a Paryż był nim olśniony. Młody Brugard (nie mogłem nazywać się tam Brukarzem, gdyż Francuzi nie mogliby wymómówić mego nazwiska bez zająkania) stał się sławny, i oto wraca do kraju teraz, by ucałować ze czcią ręce swej pierwszej nauczycielki.

— Poczciwy pan, poczciwy. Pan jeden przypomniał sobie starą nauczycielkę. I cóż i cóż? Zostaje pan w Warszawie?

— Tak; pani i... pragnąłbym, aby pani udzielała mi lekcyi.

Staruszka zdziwiona była.

— Czy pan nie żartuje?

— Nie pani.

— Więc naprawdę? Ale pan przecież umie grać.

— Nie mogę zaprzestać studyów.

— Ale... No, dobrze, owszem... chociaż.

— Lekcye pragnąłbym zacząć od jutra.

Czy od godziny ósmej do dziewiątej rano może mi pan i służyć.

— Owszem ale... To jest gdzie pan mieszka?

— Ja będę tu przychodzić. Nie chcę by wiedziano w mieście, że ja uczę się jeszcze.

— Ja nie mam fortepianu.

— To już rzecz moja.

Wieczorem przyniesiono fortepian. I codzień przychodził pan Antoni Brukarz do panny Roman, i co dzień kładł na pulpicie trzyrublowy papierek. I dziwili się mieszkańcy, gdy co rano cudne tony biegły z izdebki na poddaszu, szewc opuszczał nóż szewski, stolarz wstrzymywał piłę, ślusarz odkładał pilnik, i słuchali.

A wieczorem rozlegały się tony nieśmiałe, lękliwe, drzące. To panna Roman grała, przygotowywała się do następnej lekcyi.

* * *

Gdy w salonach Antoniego Brukarza zebrał się cały świat artystyczny, wyprowadził on pod rękę pannę Roman i rzekł.

— Oto moja nauczycielka.

Był to jedyny dzień tryumfu biednej nauczycielki.

Zachorowała po tym wieczorze: może wzruszenie ją zabiło, może zjadła za wiele.

Gdy opowiadano o szlachetnym czynie mistrza Antoniego, on mówił zawsze:

— Wierzcie mi, że przez ten rok ja wiele skorzystałem: sama biedaczka grać nie umiała, ale po każdym odegranym przezemnie utworze powtarzała stale: "za wiele nauki, za mało uczucia". Jej zawdzięczam, że dziś gram Chopina tak, jak go gram.

W. JACOBS.

POWRÓT NIEBOSZCZYKA.

Kiedy Jan Blows przyszedł do domu i powiedział żonie, że znowu stracił miejsce. pani Blows najprzód wybuchnęła głośnym płaczem, w którym niezwłocznie zawtórowały jej dzieci, a następnie obsypała go gradem najstraszniejszych wymysłów i wyrzutów.

Blows oburzony zupełnym brakiem sympatyi ze strony swojej połowicy i potomstwa, cisnął na ziemię garść drobnej monety i wyszedł z domu, zapowiadając, że więcej tu nie wróci. A możeby istotnie spróbować szczęścia gdzieindziej? w rodzinnem miasteczku jakoś mu się nie wiodło. Dla lepszego namysłu usiadł w chłodku nad rzeką i wypaliwszy fajkę, zdrzemnął się, co w każdym razie stanowi dowód czystego sumienia.

Zbudził go przeraźliwy okrzyk. Blows nagle zerwał się i zobaczywszy w pobli-

żu tonącego chłopca, Billa Clements, wszedł w wodę niezbyt głęboką w tem miejscu... i wyciągnął go. Chłopak nawet mu nie podziękował i z płaczem pobiegł do domu.

Blows spostrzegł, że czapka jego popłynęła z prądem, ale machnął tylko ręką na tę stratę i według swego poprzedniego zamiaru poszedł w świat.

Trzy miesiące zeszło mu na włóczędze, przerywanej czasem pracą; po upływie tego czasu Blows postanowił wspaniałomyślnie przebaczyć żonie i wrócić do domu. Był tylko o dwie wiorstki od miasteczka, kiedy zobaczył przed sobą wóz naładowany słomą, a na nim znajomego mieszczanina, Cartera, kiwającego się we śnie.

— Zrobię mu niespodziankę — rzekł do siebie Blows i wdrapawszy się na wóz z tyłu, położył się na słomie.

— Jak się masz, Joe? — rzekł.

Mieszczanim otworzył jedno oko, ale nie widząc nikogo, wyobrazil sobie że mu się przyśniło.

— Ja patrzę na ciebie, Joe — żartobliwie powiedział Blows.

Carter otworzył oba oczy i odwróciwszy się, ujrzał przy świetle księżyca wyglądającą z ponad słomy twarz Blowsa, szczerzącego zęby. Z okrzykiem przestrachu zeskoczył na ziemię i zaczął uciekać.

— Co jemu się stało? — mruknął zdumiony Blows — zmyka jak zając.

Na szczęście stara szkapa nie była płochliwa i wlokła się dalej. Blows był bardzo rad z furmanki i zsiadł dopiero koło cmentarza, położonego niedaleko domu Cartera. Jakiś człowiek spotkał go koło muru cmentarnego; wzniósłszy ręce do góry, skoczył na bok ze zwinnością akrobaty i z przeraźliwym wrzaskiem zaczął uciekać gdzie oczy poniosą.

— Poszaleli, czy co? — mruknął oburzony Blows.

Dochodząc do swego domu, zwolnił, kroku. Ozwały się w nim wyrzuty sumienia, a przytem zaczął zastanawiać się po raz pierwszy, z czego żona i dzieci żyły podczas jego nieobecności.

Zajrzał do kuchni i zobaczył żonę, szyjącą przy lampie. Była ubrano czarno

i wyglądała dobrze. Na odgłos kroków podniosła głowę i padła jak długa na ziemię. Widząc, że zemdlała, mąż porwał, dzbanek wody i chlusnął jej w twarz. Ten środek okazał się skuteczny: podniosła się i z płaczem rzuciła mu się na szyję.

— Ach! mój drogi — rzekła — myślałam żeś umarł: pochowaliśmy cię miesiąc temu.

— Pochowaliście mię!? — zdumiał się Blows.

— To pewno sen — mówiła pani Blows — już kilka razy śniło mi się że nie umarłeś.

Obejrzawszy się po izbie Blows zobaczył beczułkę piwa i nalał sobie szklankę.

— Doskonałe piwo — rzekł, kosztując — nie żałowałaś sobie podczas mojej nieobecności.

— To z twego pogrzebu — objaśniła żona — przywieźli dwie beczułki, ale nawet jednej całej nie wypili.

Blows postawił szklankę na stole: piwo przestało mu smakować.

— Pij — zachęcała go żona — masz największe prawo do niego.

— Ale jakim sposobem mogliście mię pochować bezemnie? — dopytywał się Blows.

— Widocznie to była pomyłka. Ale jaki miałeś pogrzeb, Jasiu, szkoda, żeś go nie widział! Prawie całe miasto szło za trumną, orkiestra amatorska grała marsza żałobnego, bractwo Wielbłądów do którego przedtem należałeś, wystąpiło z chorągwiami, cała trumna była pokryta kwiatami, a jeden wieniec kosztował aż dwa funty.

Blows zarumienił się z radości i dumy, ani nawet przypuszczał, że współobywatele tak wysoko go cenili.

— Niepotrzebnie zmarnowało się tyle pieniędzy — mruknął.

— To nie moja wina — usprawiedliwiała się żona — tego dnia coś wyszedł z domu, mały Bill przybiegł do domu, cały mokry i powiedział, żeś wyciągnął go z wody. Ponieważ nie wróciłeś ani tego dnia, ani poprzedniego wszyscy myśleli, żeś się utopił; szukali i w rzece i znaleźli tylko czapkę. Dopiero miesiąc temu wyłowili jakiegoś topielca, tak sasamo ubranego, jak ty. Byłam pewna

że to ty, chociaż twarzy nie mogłam poznać. Przypuszczano, żeś zginął, ratując Billa i dla tego wyprawili ci taki suty pogrzeb. Proboszcz miał wspaniałe kazanie, szkoda, żeś go nie słyszał! Mówił, że nigdy nie spodziewał się po tobie takiego pięknego czynu, co dowodzi, że ludzi nie należy sądzić z pozorów. Myślę, że teraz będę musiała oddać pieniądze.

— Jakie pieniądze?

— Które dla nas zebrano: 183 funty i pięć szylingów.

— Gdzie one są? — zapytał Blows, drżąc z radości.

— Nie mam ich. Umieszczone są w kasie bractwa Wielbłądów, które płaci mi tygodniowo dziesięć szylingów.

— Ani się waż oddawać grosza! — krzyknął Blows — idź do komitetu bractwa i poproś o kapitał, gdyż chcesz wyjechać do Australili. Wyślij dzieciaki do matki, a ja będę siedział na górze. Dwóch ludzi tylko mnie widziało a i ci wyobrażają sobie, że to mój duch.

Blows trafnie odgadł. Całe miastecz-

ko poruszone było tą nadzwyczajną nowiną.

— Psie figle jeszcze po śmierci się go trzymają — odpowiedział zgorszony Carter — wysunął łeb z ponad słomy i powiedział: "Ja patrzę na ciebie, Joe".

— Trzeba go było wysłuchać —rzekł surowo jeden z sąsiadów — może chciał coś powiedzieć; byłby już dał wam spokój.

Carter pobladł.

— Może chciał was ostrzedz, że śmierć się zbliża — dorzucił ktoś trzeci a—na wszelki wypadek jabym wam radził trochę się przygotować; to nigdy nie zaszkodzi.

W bractwie Wielbłądów nikt nie uwierzył w to, żeby Blows wałęsał się po śmierci, a na prośbę pani Blows o wydanie kapitału, zdziwiono się, że chce opuścić grób bohatera i przyznano jej o jeden szyling więcej tygodniowo.

Blows ze złością cisnął pieniądze o ziemię, ale ponieważ przykrzyło mu się, siedzieć ciągle w domu, w nocy wymknął się na przechadzkę. Spotkał tylko kon-

stabla, który rozchorował się z przestrachu.

W miasteczku nikt nie wątpił, że Blows "przeszkadza". Bractwo Wielbłądów, przypuszczając że nieboszczyk jest niezadowolony zamówionej dla niego kamiennej tablicy, uchwaliło wystawić mu pomnik z różowego marmuru.

Blows, dowiedziawszy się o tem, o mało nie wściekł się ze złości i na pociechę wypił resztę piwa z beczułki. To mu rozjaśniło w głowie: postanowił sam pójść do bractwa i zażądać kapitału; z babą nie chcieli gadać, ale jego przecież wysłuchają.

Ukazanie się jego, na ulicy wywołało ogólny popłoch: bojaźliwsi zmykali z okrzykiem, odważniejsi przyglądali mu się z daleka i w końcu doszli do przekonania, że to nie był duch, lecz żywy człowiek. Najwięcej uszczęśliwiony z tego odkrycia był Carter i on pierwszy uścisnął rękę mniemanego nieboszczyka.

Otoczony gromadą ludzi. Blows wkroczył na posiedzenie bractwa Wielbłądów, gdzie z początku zrobił piorunujące wrażenie.

— Przyszedłem po moje pieniądze — rzekł ostro. — 183 funty i pięć szylingów, nie chcę żadnego nagrobka... Aj! Aj!! co robicie!

Ten okrzyk został wywołany ruchem prezydenta, który za pomocą parasola chciał się przekonąać, czy przed nim stoi duch Blowsa, czy też on sam w cielesnej swojej powłoce. Sprawdziwszy, że to nie jest duch, ochłonął z przestrachu i rzekł uroczyście:

— Bardzo mi przykro, że nastąpiła pomyłka, z drugiej strony cieszę się, że pan Blows zmartwychwstał i będzie mógł z własnej pracy utrzymać żonę i dzieci. Zebrane pieniądze odda się napowrót tym, którzy je złożyli. A teraz proszę opuścić salę.

Zanim Blows zdążył wyrazić swoje oburzenie, dwóch członków wyprowadziło go z sali; za nim podążył tłum rozweselony tem nadzwyczajnem zdarzeniem.

NIEPRAWOMYŚLNOŚĆ.

Z ROSYJSKIEGO.

Z kroniki odeskiej. Pewien właściciel domu na przedmieściu niejaki Tarakanow, postawił swoją opozycyjną kandydaturę do Rady miejskiej. W tych dniach zrobiono u niego rewizyę, znaleziono niecenzuralne broszury i listy składkowe. Tarakanow zdołał jednak uniknąć procesu i więzienia za cenę przystąpienia do "związku prawdziwych Rosyan" i rzeczenia się kandydatury. Generał-gubernator Tołmaczow wzywa opozycyjnych kandydatów i wymaga, by zrzekli się kandydatur.

— Pan Tarakanow? — porywczo zapytał generał.

— Tak jest, ekscelencyo — odrzekł Tarakanow.

— Przyjemniaczek, ani słowa — rzekł, kiwając głową generał.

Pochwała dygnitarza mile połechtała Tarakonowa. Z uprzejmym uśmiechem złożył głęboki ukłon.

— Przyjemniaczek!! — wrzasnął generał.

Ton po raz drugi wypowiedzianej popochwały połechtał Tarakanowa mniej mile.

— Ośmielę się...

— Pan się już ośmieliłeś, panie Tarakanow! Jakie to licho podsunęło panu myśl o kandydaturze?

— Posiadam cenzus wyborczy...

— A ja panu powiadam, że pan nie będziesz radcą miejskim.

— Dlaczego?

— Bo to nie wypada. Jakto? Tarakanow — radcą! Nic z tego, mój panie.

— Jakże tak? W myśl prawa...

Żywe, biegające oczka generała zmętniały nagle, straciły blask.

— W myśl??...

— Prawa ekscelencyo!,

Generał wzruszył ramionami.

— Nie pojmuję. Słowa tego nie dosłyszałem. W myśl?...

— Prawa, prawa, ekscelencyo. Prawo, lex.

— Tere fere. Radcą pan jednak nie będziesz.

— Przeciwnie. W myśl prawa...

— Sidorow! Sapunienko! — zawołał generał.

Wbiegli Sidorow i Sapunienko, dwaj

rośli, barczyści policyanci o potężnych pięściach i stanęli obok Tarakanowa.

— A więc, panie Tarakanow, zgłasza pan zrzeczenie się kandydatury? — spytał dobrotliwie generał.

— Tak, tak, ekscelencyo. Zrzekam się. Co mi tam po radcowstwie? Czczy pusty tytuł, nic więcej. A co kłopotów!

— Bardzo słusznie, panie Tarakanow. Żegnam.

* * *

Nazajutrz Tarakanow został znów wezwany do kancelaryi generał gubernatora.

— Coś mi się zdaje, że w głębi duszy pragnąłbyś pan jednak zostać radcą — rzecze ponuro generał.

Tarakanow zmieszał się.

— Jak Boga kocham, nie chcę.

— Popatrz-no mi pan w oczy... Ależ oczywiście pragnąłbyś!

Generał zbliżył się do okna, pobębnił palcami o szybę i, obróciwszy się porywczo, rzucił pytanie:

— Panie Tarakanow, chcesz pan wstąpić do związku "istinno russkich ludzi"? Co?

— O nie, nie chcę, ekscelencyo!

— A możeby jednak?

— Nie, nie pociąga mnie to.

— Pomimo to, pan się zapisz!

— Za nic!

— Nie? To szkoda. Sidorow! Sapunienko!!

— A gdzie mógłbym się wpisać? — zapytał Tarakanow. —Sądzę, że dziś jeszcze zdążę?

Generał uśmiechnął się dobrotliwie.

— Zdążysz pan zdążysz. Żegnam.

* * *

Tarakonowa znów wezwał generał.

— Słyszałem, że żona pańska jest kadetką?

— Tak... to jest... skłania się ku tej partyi.

— To bardzo źle, że się skłania. Czy nie zamierza pan rozwieść się z nią?

— O nie! Bardzo kocham moją żonę.

— A możeby jednak pan się rozwiódł?

— Żyjemy z sobą już piętnaście...

— Sidorow! Sapu...

— Właściwie nic nie miałbym przeciwko rozwodowi. Ale nie ma żadnego powodu, pretekstu...

— Jakto, powodu?

— Według prawa...

— Co? Co? Według?...

— Prawa. Prawo takie jest... Lex. Jak się to mówi: dura lex, sed lex!...

— Masz pan paszport przy sobie?

— Mam ekscelencyo.

Generał wziął paszport, zamoczył pióro w kałamarzu, wykreślił słowo "żonaty" i dopisał: —"kawaler".

— Masz pan pańskie lex. Widzisz pan, jak się to prosto robi. A tej pani powiedz, żeby dziś jeszcze z Odessy wyjechała. Teraz niech sobie skłania się dokąd się jej podoba! Żegnam pana, panie Tarakanow!

* * *

— Tarakanow! Nie jestem z ciebie zadowolony — rzekł smętnie generał. — Wszystko byłoby dobrze: i kandydatury się zrzekłeś, i do "istinno russkich" wstąpiłeś, i z żoną rewolucyonistką się rozwiodłeś... a jednak brak ci czegoś.

Wychudły Tarakanow przygnębiony załamał ręce.

— Czegoż mi brak ekscelencyo?

— Brody, bratku.

— Brody??

— Tak, tak. Brody. Jakiż z ciebie "istinno russki", kiedy twarz masz wygoloną, jak Jezuita? Zgorszenie!

— Zapuszczę brodę — wyszeptał Tarakanow.

— Jutro. Koniecznie musi być broda.

Przerażony Tarakanow zbladł.

— Jakże to możliwe? Jutro?

— Tak jest. Dziś mamy środę, jutro czwartek. W czwartek masz mieć brodę. Zapuść w formie łopaty, lub klina— jak wolisz. Co do tego —— nie krępupuję cię.

— Ale według praw przyrody...

Oczy generalskie pokryły się mgłą.

— Według?... Sidorow!! Sapunien...

— Jutro wieczorem — można? —spytał pospiesznie Tarakanow.

— Hm... wieczorem? Można.

— W formie klina?..

— Powtarzam, że niczyjej wolności nie krępuję. Żegnam.

* * *

Wyjątek z pism odeskich:

"Za niespełnienie rozkazów władzy wydala się z Odessy na czas trwania stanu wzmocnionej ochrony właściciela domu Tarakanowa".

ZŁAMANA PRZYSIĘGA.

Wśród tumanów nieprzebitej mgły, od wielu dni otaczającej wyspę Helgoland rozległy się wystrzały armatnie: tonący okręt dawał sygnały. Bez względu na niebezpieczeństwo, marynarze rzucili się do łodzi, ażeby ratować załogę. Jeden tylko został na wybrzeżu, Jens Reymer, najdzielniejszy ze wszystkich. Ojciec i brat starszy zginęli podczas burzy, najmłodszy brat, Ulryk, benjaminek całej rodziny, przepadł bez wieści, matka kazała więc Jensowi przysiądz, że nie puści się na morze. Stał teraz posępny na brzegu i osłupiałem wzrokiem wpatrywał się w szare kłęby mgły, poza któremi srożyły się fale. Ach! jakżeby chciał popłynąć z innymi, walczyć z rozszalałym żywiołem, ratować ginących! Tamci narażają się na niebezpieczeństwo, on tylko stać musi bezczynny. Żal i wstyd szarpią mu serce.

I pocóż w chwili słabości dał matce to przyrzeczenie! Takiej rzeczy nawet matka nie powinna wymagać od ostatniego syna. Była blizką śmierci, musiał więc obiecać, że nie będzie już narażał życia; prócz tego wymogła na nim inne, jeszcze cięższe obietnice... Musiał przysiądz, że nie będzie ratował rozbitków, ożeni się z narzeczoną brata i przeniesie się na ląd stały.

Kiedy dziś w zacisznej izbie starego Harmsa, ojca Antie, usłyszał wystrzały na trwogę, zbladł i zerwał się, żeby biedz na ratunek tonącym.

— Dokąd chcesz iść, Jens? — zawołała za nim narzeczona. — Pamiętaj o Ulryku, pamiętaj o przysiędze.

Pamiętał o tem, a jednak nie mógł usiedzieć na miejscu; jakaś nieprzeparta siła pchała go nad morze. Bez względu na zimno, mgłę i ciemność, chodził wciąż po wybrzeżu, z bijącem sercem wyczekując powrotu łodzi ratunkowych. Nic nie widać prócz, szarych tumanów nic nie słychać, prócz ryku morza.

Ukazują się nakoniec. Naprzód dojrzeli je strażnicy i zadęli w rogi, żeby wołać mieszkańców. Widać je, jak wznoszą się na grzbietach czarnych fal, lub zapadają w głębiny, można nawet rozpoznać barczyste postacie marynarzy, którzy wytężają ostatek sił, aby dobić do lądu.

— Wiwat! — krzyczy tłum i rzuca się do wody, żeby łodzie na brzeg wyciągnąć.

Przepełnione są rozbitkami i dlatego wracają tak późno.

— Czy wszyscy są uratowani? Czy nikt nie został na statku? — drżącym głosem pyta Jens Reymer.

— Jeden tylko został — odpowiada stary Claas. — Nie mogliśmy go zazabrać, bo łódź byłaby poszła na dno. Musiał chyba zmarznąć, gdyż nie dawał znaku życia... Czego ty chcesz, Jens?

Młodzieniec skoczył w łódź i odwiązał ją.

— Czego ja chcę? — odrzekł podnosząc głowę, — ocalić tego jednego, co tam został.

— Oszalałeś chyba! — to nie podobieństwo!

— Spełniliście wasz obowiązek, pozwólcie mi dokonać tego, co nakazuje powinność. Kto jedzie ze mną?

Nikt nie odpowiada: marynarze już sił nie mają.

— A więc jadę sam! — woła Jens.

W tej chwili nad brzegiem rozlega się krzyk rozpaczy. Siwa, zgarbiona staruszka przedarła się przez tłum i błagalnie wyciąga ręce do syna.

— Jens! nie jedź! Wszak przysiągłeś!

Młodzieńcowi serce pęka z bólu.

— Przebacz, matko! — woła. — Obowiązek nakazuje mi ratować bliźniego. —Módl się, żeby Bóg zmiłował się nademną i nad tobą!

Potężna fala uniosła łódź daleko. Litościwe kobiety uprowadziły nieszczęśliwą staruszkę, skamieniałą z boleści.

— Ostatni! ostatni! — powtarza drżącemi usty.

Tymczasem noc zapadła. Zapalono latarnię morską, ale światło jej nie zdoła przebić mgły i ciemności.

Wtem słychać plusk wioseł i z mroku łódź się wysuwa. Ludzie z podziwem wznoszą ręce do góry. Jens wraca.

Ale w łodzi jest ktoś drugi, rozbitek ocalony z tonącego okrętu. Wszyscy chcą uścisnąć dłoń Jensa. On mówić nie może, a bladość jego i pot ściekający z czoła świadczą, że nadludzkiego dokonał zadania. Wraca jak bohater i przyjmują go jak bohatera.

Zachwiał się stanąwszy na brzegu.

— Powiedzcie matce, że powinna mi przebaczyć — szepnął gasnącym głosem. Człowiek, którego ocaliłem, to ukochany jej syn Ulryk...

Zanim ludzie zdążyli podtrzymać go, padł zemdlony.

WIARA W CZŁOWIEKA.

Bibl. Jag.

W oranżeryi hrabstwa N. odbywała się sprzedaż kwiatów. Nabywców było niewielu. Ja, mój sąsiad, obywatel, i młody kupiec, handlujący lasem. Podczas gdy robotnicy wynosili swe wspaniałe "sprawunki" i układali na wozy — siedzieliśmy u wejścia do oranżeryi, gawędząc o tem i o owem... Siedzieć w ogrodzie, podczas ciepłego poranku kwietniowego, słuchać śpiewu ptaków i patrzeć, jak wyniesione na wolność kwiaty drżą radośnie w słońcu — toż to radość!

Rozstawianiem roślin kierował sam pan ogrodnik; Michał Karłowicz, czcigodny staruszek, o krągłej, starannie wygolonej twarzy, w futrzanej kamizelce, bez surduta. Ten milczał przez cały czas, jednakowoż, przysłuchując się naszej rozmowie, i czekał czy kto z nas nie powie czegoś nowego. Był to człowiek mądry, bardzo dobry i przez wszystkich

szanowany. Wszyscy, niewiadomo czemu, mieli go za Niemca, aczkolwiek z ojca był Szwedem, a po matce Rosyaninem i chadzał do cerkwi. Znał dobrze języki: szwedzki, niemiecki i wiele czytał w tych językach, to też niepodobna mu było sprawić większej przyjemności, jak wręczeniem jakiej nowej książki do czytania, albo pomówieniem z nim n. p. o Ibsenie.

Miał i on swe słabostki, aczkolwiek, niewinne; tak więc nazywał się: "starszym ogrodnikiem" (chociaż nie było młodszych!); wyraz twarzy miał niezwykle poważny, dumny i nie znosił opozycyi, przeciwnie, lubił bardzo, by go słuchano w skupieniu uwagi.

— Oto ten młodzieniaszek, polecam go pańskiej pieczy, wcale niezły gałgan — rzekł mój sąsiad, wskazując na robotnika o smagłej twarzy, który przyjechał właśnie na beczce z wodą. — W zeszłym tygodniu sądzony był za rabunek i uniewinniony. Uznano go za psychicznie chorego, a tymczasem — spojrzyj pan tylko na jego gębę — jest, bestya, jak najzdrowszy... Zbyt już często u nas

ostaniemi czasy, uniewinnia się łotrów, tłómacząc zbrodnie chorobliwym ich stanem lub afektacyą, mimo że te uniewinniające wyroki, jawny dowód upadku sprawiedliwości, nie doprowadzą do niczego dobrego. Demoralizują one tylko masy, poczucie sprawiedliwości stępiało u wszystkich, ponieważ przyzwyczajono się już widzieć przewinienia uchodzące bezkarnie i doprawdy, o naszych czasach śmiało można powiedzieć słowami Szekspira: "W nasz zły, przewrotny wiek nawet cnota musi błagać o przebaczenie niecnotę".

— Prawda, prawda — zgodził się kupiec. — Dlatego, że uniewinniają w sądach — zabójców i podpalaczy mamy dziś znacznie więcej. Nie wierzycie? Spytajcie chłopów!

Ogrodnik, Michał Karłowicz, obrócił się ku nam i rzekł:

— Co się mnie tyczy, panowie, to zawsze z entuzyazmem przyjmuję uniewinniające wyroki. Nie lękam się, że podupadnie przez to moralność, czy tam sprawiedliwość, gdy rozlega się w sądzie "niewinien" — przeciwnie czuję zadowole-

nie. Nawet gdy me sumienie mówi mi, że choćby uniewinniwszy przestępcę, przysięgli popełnili błąd, to i wtedy ma ono poczucie tryumfu. Osądźcież sami panowie: jeżeli sędziowie i przysięgli więcej wierzą człowiekowi, niż pozorom, dowodom rzeczowym i słowom, to czyliż ta wiara w człowieka sama w sobie nie jest wyższą od wszelkich kombinacyj życiowych? — Wiara ta dostępna jest tylko dla tych, którzy pojmują i czują w sobie Chrystusa...

— Niezła myśl — oświadczyłem.

— Ale ta myśl nie nowa. Pomnę, kiedyś, dawno już temu, słyszałem nawet legendę na ten temat. Bardzo piękna legenda — rzekł ogrodnik i uśmiechnął się. — Opowiadała mi ją moja zmarła babka, matka mego ojca, szlachetna kobieta. Opowiadała mi ją po szwedzku, to też w przekładzie wyjdzie ona nie tak pięknie, nie tak klasycznie...

Poprosiliśmy go, aby nam ją opowiedział i nie krępował się wcale ordynarnością naszego języka. Zadowolony, zapalił powoli fajeczkę, spojrzał groźnie na robotników i zaczął:

— W pewnem małem miasteczku osiedlił się podeszłego już wieku samotny i niezbyt przystojny mężczyzna, nazwiskiem Thomson, czy też Wilson, mniejsza o to. Są rzeczy ważniejsze od nazwiska. Profesyę miał szlachetną; leczył ludzi. Był zawsze posępny i nietowarzyski, a mówił tylko wtedy, gdy wymagała tego profesya. Do nikogo nigdy nie chodził na rozmowy, z nikim znajomości nie zawierał, ograniczając się tylko do milczącego ukłonu i żył sobie skromnie, jak mnich. Rzecz polegała na tem, że był to uczony, a na owe czasy uczeni nie byli podobni do zwykłych ludzi. Spędzali dni i noce w kontemplacyi, na czytaniu dzieł i leczeniu chorób, na wszystko zaś inne spoglądali niby na podłość i nie mieli czasu na mówienie niepotrzebnych słów.

Mieszkańcy miasta dobrze to wiedzieli, to też starali się nie dokuczać mu swemi wizytami i czczą gadaniną. Byli bardzo szczęśliwi, że Pan Bóg nareszcie zesłał im człowieka, który umiał dobrze, leczyć choroby i dumni byli z tego, że w ich mieście mieszka taki znakomity człowiek.

— Wszystko wie, — mawiali o nim.
Ale nie dość tego było. Powinni byli powiedzieć: " On kocha wszystkich!" Bowiem w piersi tego człowieka zamieszkało zaiste cudne, anielskie serce! Bo przecież mieszkańcy tego miasta byli mu obcymi, nie krewnymi, nie blizkimi, a jednak kochał ich, niby swe dzieci, i nie żałował dla nich nawet swego życia. Kaszłał, będąc chory na suchoty, lecz gdy go wezwano do chorego, zapomniał o swej chorobie, nie troszcząc się o siebie i, ledwie dysząc wdzierał się na schody, nieraz bardzo wysokie. Lekceważył znój i ziąb, gardził głodem i pragnieniem...— Pieniędzy nie brał i, dziwna rzecz, kiedy umierał pacyent, to szedł razem z rodziną zmarłego za trumną i...płakał.

Stał się wkrótce dla miasta tak niezbędnym, że mieszkańcy dziwili się wprost jak mogli się obchodzić dotąd bez tego lekarza. Zaufanie ich do niego wprost, granic nie miało. Dorośli i mali, dobrzy i źli, uczciwi i oszuści — słowem wszyscy, wszyscy szanowali go i znali jego wartość. W miasteczku i okolicy nie było człowieka, któryby pozwolił sobie nie

tylko zrobić mu coś przykrego, ale nawet pomyśleć o tem. Wychodząc ze swego mieszkania, lekarz nigdy nie zamykał drzwi i okien, w przekonaniu, że nie ma takiego złodzieja, któryby poważył się go skrzywdzić.

Nieraz mu wypadało, w poczuciu swego obowiązku, iść wielkiemi drogami, przez lasy i wawozy, gdzie wielkiemi chmarami chadzały głodne włóczęgi, ale czuł się zupełnie bezpiecznym. Razu pewnego w nocy, gdy wracał od chorego, napadli go bandyci w lesie, ale dowiedziawszy się kim jest, z szacunkiem zdjęli przed nim kapelusze, i zapytali, czy nie jest głodny. Kiedy zaś rzekł, że jest syty — podarowali mu ciepły płaszcz i odprowadzili go aż do rogatek miasta szczęśliwi, że los dał im okazyę, choć w ten sposób wywdzięczyć się lekarzowi za dobrodziejstwa jego względem ludzkości.... No, dalej rozumie się, babka opowiadała, że nawet konie, krowy i psy znały go i przy spotkaniu, objawiały swe zadowolenie...

I oto tego człowieka, który, zdawałoby się, swą świętością oddzielił się od tego zła padołu płaczu, wielbicielami

którego, jak się pokazało, byli nawet bandyci i waryaci, — pewnego pięknego poranka znaleziono zabitego! Okrwawiony, ze zdruzgotaną głową, leżał w wąwozie, a blada jego twarz wyrażała zdumienie. Tak, nie przerażenie, ale właśnie, zdumienie zastygło na jego twarzy — snadź kiedy ujrzał przed sobą zabójcę.

Czy możecie teraz wyobrazić sobie ten żal, jaki ogarnął mieszkańców miasta i okolicy? Wszyscy w rozpaczy, nie wierząc swym oczom, zapytywali: Kto mógł zabić tego człowieka? Sędziowie, którzy dokonywali śledztwa i ekspertyzy ciała lekarza, orzekli tak: "Mamy tu wszelkie cechy zabójstwa, ale ponieważ na całej kuli ziemskiej niema takiego człowieka, któryby mógł go zabić, to oczywiście mordu tu nie było, zbieg zaś okoliczności jest powodem zbiegu cech zbrodni... Należy raczej przypuścić, że lekarz po ciemku sam wpadł do wąwozu i zabił się...."

Ze zdaniem powyższem zgodziło się całe miasto. Doktora pochowano, i nikt już nie mówił o zabójstwie. Istnienie człowieka, któryby się odznaczył taką podło-

ścią, by mógł zabić kochanego przez wszystkich lekarza — zdawałoby się być niepodobieństwem. Przecież i ohyda ma swe granice. Czyż nie tak?....

Aż tu naraz, czy możecie to sobie wyobrazić? — prosty traf naprowadza na zabójcę. Widziano, jak jeden hultaj, wielekrotnie karany sądem, znany ze swego rozpustnego życia, przepijał tabakierkę oraz zegarek lekarza. Kiedy go wzięto na spytki, zmieszał się strasznie i powiedział, oczywiście kłamstwo. Zrobiono tedy w mieszkaniu jego rewizyę i znaleziono w posłaniu okrwawioną bieliznę i lancet lekarza w złotej oprawie. Czyż trzeba było jeszcze jakich dowodów? Złoczyńcę osadzono w więzieniu. Mieszkańcy zawrzeli oburzeniem, a jednocześnie mówili:

— To nie możliwe! To nie może być!
— Pamiętajcie, byście nie zrobili jakiego głupstwa i nie ośmieszyli się; zdarza się przecież, ze nawet niezbite dowody stwierdzają nieprawdę!....

Na rozprawie morderca dowodził swej niewinności. Wszystko mówiło przeciwko niemu i przekonać sie co do jego wi-

ny takoż było łatwo, jak i co do tego, że ta oto ziemia jest czarną, ale sędziowie poprostu powaryowali: po dziesięćkroć ważyli każdy szczegół dowodu, każdy cień winy, a z nieufnością spoglądając na świadków to czerwienieli, to pili wodę...

Sprawę zaczęto rankiem, a skończono zaledwie wieczorem...

— Oskarżony! — zwrócił się główny sędzia do mordercy — sąd uznał cię winnym popełnienia mordu na doktorze i skazał cię na...

Główny sędzia chciał powiedzieć: "na karę śmierci", ale opuścił z rąk papier, na którym miał napisany wyrok, wytarł chłodne czoło i rzekł:

— Nie, jeżeli ja niesprawiedliwie sądzę, to niech mnie Bóg skarze, ale klnę się, ten człowiek jest niewinny! Nie mogę bowiem nawet pomyśleć, żeby mógł znaleźć się ktoś, ktoby mógł zabić naszego lekarza! Nie, człowiek nie jest zdolny do tego!

— Tak, tak, niema takiego człowieka — zgodzili się sędziowie.

— Niema! — krzyknął tłum. — Puścić go!

Zabójcę puszczono na wolność i ani jedna żywa dusza nie zarzuciła sądowi temu niesprawiedliwości. I Bóg — dodała babka moja — za taką wiarę w człowieka odpuścił wszystkie grzechy mieszkańcom tego miasta. Albowiem Najwyższy cieszy się, gdy świat wierzy, że człowiek jest odbiciem Boga, jego Obrazem, smuci się, gdy zapominając o godności człowieka, ktoś sądzi gorzej o ludziach niż o psach. Niechby nawet uniewinniający wyrok przyniósł ludziom zło na razie, za to, osądźcie sami, jak dobrotliwy wpływ na ludzkość ma ta wiara w dobroć człowieka, wiara, która nigdy nie jest martwą; wychowuje ona w nas wspaniałe, górne uczucia i zawsze nakazuje kochać i czcić każdego człowieka. Każdego! — A to najważniejsze. Ogrodnik skończył. Sąsiad mój chciał mu coś zaoponować, ale "starszy ogrodnik" zrobił gest, który mówił, że że nie lubi on opozycyi, poczem odszedł do wozów i z wyrazem powagi na twarzy — zabrał się do układania kwiatów.

ZMARTWIENIE.

Tokarz Grzegorz Petrow, oddawna znany jako najzdolniejszy majster, jednakże i najgorszy woźnica w całej Gałczyńskiej okolicy, wiezie obecnie swoją chorą żonę do ziemskiego szpitala. — Musi przebyć wiorst 30 po okropnej drodze, z którą nawet rządowy pocztarek nie mógł sobie dziś poradzić, a cóż dopiero taki piecuch, jak tokarz Grzegorz. W oczy dmie ostry mroźny wiatr. W powietrzu, ze wszystkich stron, wirują obłoki śnieżnych płatków, tak, że trudno rozpoznać, czy śnieg pada z nieba, czy z ziemi. Przez zasłonę śniegową nie widać ani pola, ani lasu, ani słupów telegraficznych, a kiedy naleci silniejszy podmuch, wtedy nic już nie widać, nawet drogi.

Stara, niedołężna szkapa ledwie przebiera nogami. Całą energię zużyła na wydobywanie nóg z głębokiego śniegu i potrząsanie głową. Tokarz pospiesza.

Niespokojnie podskakuje na siedzeniu raz wraz smaga konia po grzbiecie.

— Ty Matriono nie płacz... — mruczy — pocierp odrobinkę. Da Bóg, do szpitala przyjedziemy i zaraz ci to, tego... Da ci Paweł Iwanowicz kropelek, albo krew puścić każe, albo może przez łaskawość każe się jakim spirytusikiem natrzeć, to... tego... odciągnie od boku. Paweł Iwanowicz dołoży starania... Pokrzyczy, potupie nogami, ale wszystko zrobi... To taki dobry, łaskawy pan, niech mu Bóg da zdrowie. Gdy zajedziemy, to wybiegnie ze swojej kwatery i zacznie wymyślać od dyabłów.

— Jakto, co to ma być? — krzyknie. — Czemu nie w oznaczonym czasie przyjeżdżasz? Czy to ja pies jaki, żebym się cały dzień z wami, dyabłami, mordował? Dlaczego rano nie przyjechałeś? Wynoś się! Żeby tu śladu po tobie nie było! Jutro przyjeżdżaj!

A ja powiem: — Panie doktorze! Pawle Iwanowiczu! Wielmożny panie! — No, jedź-że, a bodajeś pękła, do licha! No!

Tokarz zacina konia i, nie oglądając się na żonę, ciągnie dalej pod nosem. —

Wielmożny panie! Przysięgam, jak przed Bogiem (żegna się), wyjechałem przed świtem. Jak tu na czas stanąć, skoro Pan Bóg... Matko Boska! rozgniewał się i taką zawieję zesłał. Niech pan łaskawie zobaczy. Nawet szlachetniejszy koń dziś wyciągnąć nie zdoła, a mój, jak pan widzi, nie koń, lecz zdechła szkapa!

A Paweł Iwanowicz rozgniewany krzyknie: "Znamy was! Zawsze usprawiedliwienie znajdziecie! Szczególnie ty, Grzešku! Dawno cię znam! Pewnie z pięć razy do karczmy wstępowałeś!" A ja mu: "Wielmożny panie! Czy ja to poganin, albo już bez sumienia jestem! Stara Bogu ducha oddaje, konającą, a ja będę karczmy objeżdżać! Zmiłujcie się panie, co mówicie! Oby one przepadły, te karczmy!"

Wtedy Paweł Iwanowicz każe cię zanieść do szpitala, a ja padnę mu do nóg... "Pawle Iwanowiczu! Dziękuję najpokorniej! Przebaczcie nam głupim chłopom! Należałoby nam po karku dać, a pan raczy się trudzić, nóżki swoje w śniegu brudzić!"

A on tak spojrzy, jakby batem ściągnął

i rzeknie: "Zamiast do nóg padać, plepiejbyś błaźnie wódki nie chlał i starą szanował. Należałoby ci skórę zerżnąć!" — "Istotnie, zerżnąć Pawle Iwanowiczu, jak mi Bóg miły zerżnąć! A jak tu do nóg wam nie padać, kiedy dobroczyńcą naszym jesteście, ojcem rodzonym! Wielmożny panie! Daję słowo... jak przed Bogiem... niech mi pan plunie w oczy, jeśli zawiodę: jak tylko moja Matriona wyzdrowieje, zupełnie do siebie przyjdzie, to wszystko, co tylko pan rozkaże, dla łaskawcy zrobię! Papierośnicę, jeśli pan życzy, z brzozy korełskiej... kule do krokieta, kręgle wytoczę, jak prawdziwe zagraniczne... wszystko dla pana zrobię! ani kopiejki za to nie wezmę! W Moskwie za taką papierośniczkę musiałby pan dać 4 ruble, a ja ani kopiejki nie wezmę!"

Doktór się roześmieje i powie: "No, dobrze, dobrze... Tylko szkoda, żeś pijak."

I tokarz gada bez końca. Miele językiem machinalnie, byle trochę zagłuszyć ciężkie strapienie, a choć język tyle słów wypowiada, w głowie pozostaje więcej jeszcze myśli i pytań.

Nieszczęście spadło nań nagle i tak niespodzianie, że teraz nie może się ocknąć, aby zrozumieć. Dotąd żył bez troski, spokojnie, w jednakim półśnie wiecznie pijanego człowieka; nie znał smutku ani radości, aż uczuł w duszy ogromny ból. I to wiecznie spoczywające pijaczysko, ni stąd ni zowąd znalazło się w sytuacyi człowieka zajętego, skłopotanego, a nawet walczącego z naturą.

Tokarz pamięta, że zmartwienie trwa od wczoraj. Kiedy wrócił wczoraj wieczorem do domu, jak zwykle pijany i zaczął się awanturować, żona spojrzała na swego zawadyakę zupełnie inaczej niż dotąd.

Zwykle, były to oczy pokornej męczennicy, lub psa, którego biją, a mało jeść dają, teraz patrzała na niego wzrokiem nieruchomym i surowym, jak patrzą święci ze starych obrazów lub konające osoby.

Od tego wejrzenia poczęło się jego zmartwienie. Oszalały tokarz wyprosił u sąsiada szkapę i teraz wiezie starą do szpitala w nadziei, że Paweł Iwanowicz

z proszkami i maściami wróci jej poprzednie wejrzenie.

— Ty jednak Matriono, tego... — mruczy. — Jak Paweł Iwanowicz zapyta czy cię biłem, to mów: nijako! A ja cię już bić nie będę. Przysięgam na krzyż. Bo to ja cię biłem ze złości? Biłem tak sobie. Żal mi cię. Widzisz, inny nie martwiłby się tak, a ja, ot wiozę cię... staram się. Ależ miecie i miecie! Bądź wola Twoja, o Panie! Oby Bóg dał nie zboczyć z drogi... Cóż, boli, boli? Matriono, czemu nie odpowiedasz? Pytam cię czy bok boli?

Dziwne mu się wydaje, że na twarzy starej śnieg nie topnieje, że twarz dziwnie się wyciągnęła i przybrała blado-szary, brunatno-woskowy odcień.

— Na, masz głupią! — mruczy tokarz. — Ja ci z całego serca, jak przed Bogiem... a ty, tego... No — i masz głupią! Wezmę ot i nie powiozę do Pawła Iwanowicza. Opuścił lejce i zamyślił się. Nie ma odwagi spojrzeć poza siebie... strach go ogarnia. Zadać jej pytanie, a nie otrzymać odpowiedzi, także straszno! Wreszcie, aby pozbyć się niepewności, nie od-

wracając twarzy, namacał zimną, skostniałą rękę.

— Umarła widać. Awantura! I tokarz płacze. Nie tyle mu żal, ile przykrość mu sprawia, że na świecie tak prędko wszystko się odbywa. Nie zdążył pożyć ze starą, nagadać się z nią, pożałować, a ona już umarła. Żyli z sobą 40 lat, lecz te 40 lat minęły przecież na piciu, biciu i nędzy, a nie czuł, że żyją. I jak na złość, stara umarła właśnie w takiej chwili, kiedy uczuł dla niej litość zrozumiał jak wobec niej zawinił, zdaje mu się teraz, że bez niej żyć nie może.

— Ona nawet żebrała — przypomina sobie tokarz.

— Sam ją wysłałem prosić ludzi o kawałek chleba. Żeby miała rozum, to powinna jeszcze z 10 lat żyć, a tak, gotowa pomyśleć, że naprawdę taki jestem. Matko Przenajświętsza, dokądże ja u licha jadę? Teraz nie leczyć, ale chować trzeba. Nawracaj! Tokarz nawraca i z całej siły bije konia. Droga coraz gorsza. Teraz już drogi nie widać. Czasem sanki najadą na małą choinkę; ciemny przedmiot podrapie ręce, mignie

przed oczami i znowu biała, wirująca przestrzeń dokoła.

"Gdyby tak żyć na nowo! — myśli tokarz. — Przypomina sobie, że Matriona przed 40 laty była młoda, ładna, wesoła, z bogatego domu. Wydali ją za niego, bo im pochlebiało jego rzemiosło. Były wszystkie dane do szczęścia, lecz nieszczęście było w tem, że jak się upił po weselu i buchnął na przypiecek, to jakby zupełnie odtąd się nie budził. Wesela nie pamięta, a co było po weselu, to choć zabij — nie wie.

Tak zmarnował 40 lat.

Białe, śnieżne obłoki zaczynają zwolna szarzeć.

Nastaje zmrok.

Dokąd ja jadę? Oryentuje się tokarz.— Chować trzeba, a ja do szpitala. Zupełnie jak waryat!

Znów wraca i bije konia. Kobyłka natęża wszystkie siły, parska i biegnie drobnym kłusem. Tokarz ciągle śmiga batem. Z tyłu słychać jakieś postukiwanie, a choć się tokarz nie ogląda, jednak wie, że to głowa umarłej uderza o sanie.. A tu coraz

ciemnej... mroźny wiatr coraz chłodniejszy...

"Zacząć nowe życie" — myśli tokarz. — Narzędzia nowe sprawić, obstalunki przyjmować... pieniądze oddawałbym starej... tak!

Wypadają mu lejce. Szuka, chce podnieść, ale nie może; ręce — bezwładne... "Wszystko jedno — myśli — koń sam zawiezie, zna drogę. Przespać by się trochę.'" Zamyka oczy i drzemie. W chwilę potem czuje, że koń stanął. Otwiera oczy i widzi przed sobą coś podobnego do chaty, czy sterty. Powinien wyjść z sani i przekonać się, co to, lecz ciało ogarnęło takie lenistwo, że woli zmarznąć, byle nie ruszać się z miejsca. I spokojnie zasypia...

Budzi się w dużym, jasno malowanym pokoju. Przez okno wpadają całe potoki światła.

Tokarz widzi przed sobą ludzi i przedewszystkiem chce pokazać, że jest przytomny.

— Żałobne nabożeństwo trzebaby... za żonę — mówi. — Księdza należy zawiadomić.

— No, dobrze, dobrze. Leż już! — przerywa mu czyjś głos.

— Boże mój! Paweł Iwanowicz! — woła ze zdziwieniem, widząc przed sobą doktora. — Dobroczyńco!

Chce wstać, by paść przed medycyną do nóg, lecz czuje, że ręce i nogi są nieposłuszne.

— Wasze błagorodie! Gdzież są moje nogi? Gdzie ręce?

— Pożegnaj się z rękami i nogami... Odmroziłeś! No, no, czegoż płaczesz? Pożyłeś i chwała Bogu! Pewnie ze sześć krzyżyków masz za sobą — to i dosyć.

— Nieszczęście!... Wielmożny panie, to nieszczęście przecież! Darujcie wspaniałomyślnie! Jeszcze choć przez pięć, sześć latek.

— Po co?

— Koń cudzy, oddać trzeba. Starą pochować... Jak to na tym świecie wszystko prędko się robi! Wielmożny panie, Pawle Iwanowiczu! Najpiękniejszą papierośnicę z korełskiej brzozy! Krokiecik wytoczę!...

Doktór machnął ręką i wychodzi z sali. Skończył tokarz życie.

ZNIENAWIDZONA POTĘGA.

Bajka.

Była ongi kraina piękna i bogactw wszelkich pełna, morze ciepłym uściskiem obejmowało jej ukwiecone brzegi, barwnopióre ptactwo wesołym szczebiotem ożywiało gaje i lasy, obfity połów drogocennych pereł corocznie wzbogacał nielicznych, lecz spokojnych o byt mieszkańców.

I mogliby zwać się zupełnie szczęśliwymi, gdyby nie smutny, uciążliwy haracz, jaki musieli składać wszechludzkiej władczyni — Śmierci.

To też przeklinali ją starcy i młodzieńcy, bogacze i mniej możni, lecz okrutnica obojętnie przyjmowała złorzeczenia i boleść, zgarniając dalej dowolnie ofiary.

A nikt może nie rozpaczał z powodu niej tak strasznie, jak młody król Memon, któremu porwała nagle, prawie w

przededniu weselnych godów, uroczą dobrą narzeczoną.

To też władca uważał się za nieszczęśliwszego od wszystkich poddanych swoich i wiele czasu spędzał we łzach na mogile jasnowłosej Elis.

A gdy pobladłe lica zanurzył w chłodnych, upajających wonią nagrobnych liliach, po godzinach bezmiernej żałości, porywał go niekiedy straszliwy gniew na niedoścignioną krzywdzicielkę.

— O, bądź przeklęta — wołał — ty, co jedna śmiesz urągać mi w mojem państwie, chciwa, żarłoczna, nienasycona plago! O czemuż wygnać cię nie mogę choć za granicę krainy swojej?!

I namęczywszy się bezsilnem miotaniem, wracał do marmurowych ścian wspaniałego pałacu, a po drodze wesołe, trzepocące Życie, natrętnie rzucało mu się w oczy, drażniąc jednocześnie słuch gwarem, śpiewem, muzyką i nawoływaniem swawolących dzieciaków.

Był zanadto wyrozumiałym, aby otoczeniu swojemu nakazać bezwzględną powagę i nastrój żałobny — wolał cierpieć

sam, stronił tylko, o ile mógł, od pustoty i rozrywek.

Mijały wolno tygodnie i miesiące — młody, urodziwy król trwał z nieukojonym żalu.....

Aż raz, we śnie, nieubłaganie dotąd sprawująca swoją powinność Śmierć, stanęła przed obliczem nieszczęsnego kochanka i rzekła wyniośle:

— Dość mam twoich złorzeczeń i wyrzutów niedoświadczony młokosie — zaprzestaję więc zwykłego żniwa w tak niegościnnym kraju.

Na razie nie przywiązywał król znaczenia do dziwacznej sennej wizyi, lecz gdy po kilku miesiącach nikt nie umierał w państwie, obwieścił ją ludowi, posmutniawszy sam jeszcze więcej.

Pewnego ranka, gdy niósł wieniec ze świeżych róż na grób niezapomnianej Elis, ujrzał na ścieżce, wiodącej do miejsca jego codziennej wędrówki, wysmukłą postać przybyłej z sąsiedniej wyspy, księżniczki Zefiry.

Memon, dotknięty palącem spojrzeniem czarnych, błyszczących źrenic, po-

dniósł wzrok mimowoli i dostrzegł przecudne lica, które z przedziwną mocą wyryły mu się w jego pamięci.

Odtąd wspomnienie zmarłej narzeczonej zasnuwało się zrazu lekką, później coraz gęstszą mgłą, aż widywana codziennie dziewica wznieciła w piersi młodocianego władcy nowy, przepotężny, żar miłości.

Rozkochany król w krótkim czasie stał się niewolnikiem pięknej księżniczki, która łaskawie przyjęła ofiarę z jego płonącego serca i złocistej korony.

Ale nim zdążył stanąć na kobiercu ślubnym, srogie spotkało go doświadczenie.

Niepostrzeżony dojrzał, jak w cieniu drzew, u źródła, jeden z dostojnych rycerzy z orszaku dworskiego chłonął rozkosz zakazaną z ust czarownej Zefiry.

Porwał więc za miecz, aby pomścić na śmiałku niesłychaną zniewagę, lecz miecz wypadł mu z ręki wielokrotnie, odtrącony niewidzialną siłą tryumfującego Życia.

Przypomniał więc sobie Memon, że Śmierć opuściła jego kraj i pożałował jej w tym momencie

Winny rycerz został tylko skazany na wygnanie, a słodka Zefira usiłowała przekonać przyszłego małżonka, że litość jedynie była pobudką udzielanych, jako jałmużny, pocałunków, żebrzącemu oddawna młodzianowi.

Narzeczony zanadto jej pragnął, aby jeżeli nie uwierzyć, to choć nie przebaczyć.

Po wspaniałych godach władca czuł się, jak nigdy szczęśliwy...

Pełna czaru miłości i wesela kobieta dzieliła z nim panowanie, — jedyny wróg krainy — nie trwożył nikogo.

Ubiegło lat kilka, jak cudny rajski sen.

Aż raz król z powodu niepomyślnych łowów, wrócił niespodziewanie do pałacu.

Na ustronnym krużganku, w ciszy księżycowej nocy, miłosierna Zefira, prawdopodobnie znowu z litości, darzyła pocałunkami jego wielkorządcę!

Srogo doświadczony małżonek, niepomny trwającej bezsilności morderczych narzędzi w swym kraju, usiłował zadać

śmiertelny cios zuchwałemu miłośnikowi, ale stal z szyderczym świstem raz po raz przecinała powietrze, nie szkodząc nikomu.

Unieszczęśliwiony król cisnął z pogardą broń i pobiegł nad umajone brzegi morza, rzucając się rozpacznie w szemrzącą, błękitną głębię.

Ale fale wyrzuciły go natychmiast daleko na ląd, a usłużni dworzanie troskliwie odprowadzili do komnat.

I znowu Życie śmiało się zwycięsko, a Memon szalał z rozpaczy.

Na domiar złego liczne, krzykliwe ludzkie głosy rozległy się w około jego siedziby.

Zgnębiony władca ujrzał z okien mnóstwo starych, brzydkich kobiet, wyciągających doń ramiona, niby z groźbą i wołaniem.

— Czego chcą te przeklęte baby? — zapytał gniewnie otaczających dostojników.

— One pragną umrzeć — odpowiedziano.

Czyż najwięcej nie złorzeczyły śmierci, gdy brała łupy w mojem państwie?!

— Lecz teraz, po jej odejściu, te które dawno utraciły młodość, codziennie myślą z trwogą, jak będą wyglądały jeszcze za lat dziesięć, jeszcze później... Proszą więc miłościwego króla, aby usiłował przywołać napowrót Śmierć, która odeszła na jego życzenie.

— Nikt jej nie pragnie teraz więcej odemnie! — zawołał rozżalony władca, czując wzmagający się żar w swym znękanym mózgu.

I ukoronowany, urodziwy, możny, cierpiał znowu bezmiary nieskończenie długie tygodnie, które latami mu się zdały.

Aż patrząca dotąd zdaleka szyderczo Śmierć, ulitowała się nad nieszczęśnikiem, kładąc zimną rękę na umęczonem jego czole.

Przygasłe oczy młodzieńca-króla rozjaśniły się na chwilę, a na usta wybiegł ostatni, smutnie-radosny okrzyk:

— O witaj Śmierci, boś jest litościwszą od Życia!

KOŃ PODOFICERA ANGELOWA.

Generał Tenew, komendant szóstej, dywizyii. otrzymał rozkaz, aby osobiście obszedł pozycye, które dywizya jego zajmowała i zachęcił żołnierzy do ataku na bagnety.

Z adjutantem porucznikiem Kapetanowem i podoficerem Angelowem u boku generał cwałem ruszył ze wsi, gdzie znajdowała się kwatera sztabu i skierował się ku nizkiemu grzbietowi górskiemu, obsadzonemu przez pułki szóstej dywizyi. Pozycye te były wystawione na gwałtowne ataki prawego skrzydła tureckiego, które chciało przedrzeć się tędy i zdobyć gościniec wiodący z Bunar Hisaru do Lozengradu. Zachodziła obawa, iż plan turecki może się udać, dlatego głównodowodzący rozporządził aby generał Tenew, ze swą dywizyą gotów był do kontrataku.

Ogień nieprzyjacielski był straszny. Granaty gwizdały i wybuchały gwał-

townie. Wysoko w powietrzu szumiały szrapnele i świszczały pociski mitraljez. Powietrze jęczało, ziemia drżała.

— Tylko dzielnie, chłopcy! Bagnety w garść i naprzód!

— Nie bój się, generale! Skoczymy na nich a uciekną, aż się za nimi kurzyć będzie! Ani w Stambule nie ustaną! My nie rekruci!

Porucznik Kapetanów stał w deszczu pocisków. Zgłosił się do generała:

— Jestem ranny.

— Gdzie?

— W lewą rękę, bok i nogę.

— Możesz się utrzymać na siodle?

— Mogę.

— To wracaj.

Kapetanow odjechał. Generał został sam z Angelowem.

— A ty?

— Nic mi nie jest.

— Naprzód.

Jechali przez kwadrans, pozdrawiając pułki, przygotowując je do szturmu.

Pękł granat. Koń generała padł. Generał skoczył z niego i obejrzał się za An-

gelowem; widział, jak Angelow spadał z siodła.

— Jesteś ranny?

— Ranny.

— To wezmę twego konia, mój jest skaleczony. Ty tu leż, przyślę po ciebie żołnierzy sanitarnych.

Generał wsiadł na konia Angelowa i jechał dalej zdłuż linii bojowej. Żołnierze ze zdziwieniem spostrzegli, że jedzie bez eskorty i witali go radośnie.

Dano znak do ataku. Błysnęły bagnety. Ruszyło wojsko. Karabiny i działa grzmiały. Godzinę tylko trwała walka krwawa, zacięta. Tureckie pułki przerzedzone i rozprószone śpiesznie cofały się za Karagacz. Bułgarzy ścigali je i dopiero noc ich wstrzymała.

Generał Tenew zmęczony szybką jazdą odpoczywał w małym, opuszczonym domku. Zameldował się oficer ordynansowy od głównodowodzącego.

Radko Dimitrjew dziękował generałowi. Generał uśmiechnął się i znów opuścił głowę na stół.

Coś uderzyło silnie w okno.

Generał zawołał:

— Kto tam?

Nikt się nie odzywał.

I znowu głuche uderzenie. Generał wstał otworzył okno.

— Kto tu?

Na dworze było ciemno. Pod oknem stał wysoki, czarny koń i niecierpliwie grzebał nogą.

Jenerał zamyślił się. Mózg jakby wypowiedział służbę; pracował ciężko.

— Angelow!

Zapomniał, że Angelow z przetrąconą nogą leży gdzieś tam na małym pagórku.

Wszedł żołnierz.

— Gdzie jest Angelow?

— Nie wrócił dotychczas.

— A ten koń przed domem?

— Koń jest jego, ale pan generał na nim przyjechał.

— Jego? Generał przypomniał — sobie. — Koń Angelowa? Dwaj żołnierze sanitarni niech natychmiast idą z noszami tuż przy drodze, pod morwami leży Angelow. Niech go tu przyniosą.

Generał wyszedł przed dom i przystąpił do konia. Koń niemo spojrzał na niego i położył mu głowę na ramieniu.

— Przyniosą ci go. Nie bój się.

Przynieśli go późną nocą. Zbudzili generała i wnieśli rannego do chałupy. Angelow był wyczerpany i napół zmarznięty.

Generał ścisnął mu rękę.

— Merci! — szepnął podoficer.

— Nie mnie dziękuj. Raczej wybacz że mało co nie zapomniałem o tobie. Rozumiesz, miałem co innego do roboty. Ale za to twój koń nie zapomniał. Przypomniał mi obietnicę. Jemu podziękuj. No, widzisz? Znowu zagląda do okna! Angelow spojrzał ku oknu, przez które koń wsunął głowę, i kiwnął ręką.

— Merci!

Koń zarżał wesoło i legł pod oknem. I on był zmęczony.

PIERWSZY KROK

Z niemieckiego.

Na ławce w parku zamiejskim siedzą —panienka i chłopiec. Ona ma lat piętnaście — on dwadzieścia. Powietrze przesycone aromatami wiosny, dwa serca przepojone miłością. Słodko i dobrze tym dwojgu. Milczą w upojeniu. Nagle odzywa się zegar miejski i obwieszcza, że już ósma. Panienka zrywa się, wylękniona.

Mój Boże! Tak późno! Muszę wracać!

— Zostań jeszcze chwilkę —prosi ją chłopiec.

— Nie, nie mogę. O wpół do dziewiątej kolacya. Czas już na mnie od dawna.

— Ale cię odprowadzę.

Idą, trzymają się za ręce.

— Powiedz kochasz mnie? — pyta ona.

— Wiesz przecież — odpowiada on urażony.

— Chcę wiedzieć ciągle. Chcę, żebyś mi powtarzał.

— Kocham cię, kocham, kocham i będę kochać na wieki —szepce chłopiec w upojeniu.

— Idźmy prędzej, bo dostanę okropną burę.

— Bóg nie pozwoli, żebyś cierpiała przezemnie.

— Bóg powinien mnie ukarać, bo nie słucham rodziców.

— Miłość nie jest grzechem —przekłada jej chłopiec.

— A będziesz mnie tak samo kochał po ślubie? — dopytuje znowu dziewczyna, nienasycona przysiąg i zapewnień.

— Będę cię nosił na ręku.

— A gdybyś się na mnie zawiódł?

— Ja się na tobie zawieść nie mogę.

Chłopiec mówi to z przekonaniem głębokiem.

— Co powiesz w domu, jak cię spytają? —zwraca się do niej nagle.

— To zależy od tego, czy spotkam znajomych i w jakim punkcie. Jeżeli w po-

bliżu konserwatoryum, to powiem, że byłam na lekcyi; jeżeli przy parku — że chodziłam z przyjaciółką na spacer.

— Umiesz kłamać! — stwierdza chłopiec ze smutkiem.

— To są kłamstwa pobożne, w dobrym celu — tłómaczy mu dziewczyna.

— Czy i mnie będziesz okłamywać, jak się pobierzemy. Ze mną łatwo. Ja ślepo wierzę.

— Tobie będę zawsze mówiła prawdę — upewnia go panienka — i teraz, jeżeli skłamię, to tylko dla ciebie.

— Czy nie lepiej wręcz powiedzieć rodzicom, że się kochamy, że chcemy się pobrać, jak dorośniemy.

— Dziecinny jesteś! Zabronią nam widywać się.

— Dlaczego?

— Wierzaj mi. Ja ich znam.

— Ale mi przykro, że chcesz kłamać. Wzbudziłaś moją nieufność.

— Przed tobą nie skłamię nigdy. Choćbym chciała nie potrafię.

— Nie kłam i przed innymi.

— Cóż mam powiedzieć rodzicom?

— Powiedz że byłaś w parku, żeś mnie spotkała. Gdyby cię nawet ukarano, warto cierpieć za taką chwilę.

— Jeżeli tego chcesz dobrze.

— Obiecujesz?

— Obiecuję.

— A więc do widzenia.

*

Panienka wraca do domu. Rodzice i rodzeństwo już siedzą przy stole.

— Cóżeś się tak spóźniła? — pyta matka.

— Gdzie byłaś tak długo? —mówi ojciec głosem srogiem.

— Byłam w konserwatoryum — odpowiada panienka, spuszczając oczy.

— Do wpół do dziewiątej? — woła, nieufnie ojciec.

— Nie do siódmej, a potem poszłam się przejść z Martą.

*

Nazajutrz. Na tej samej ławce, w parku.

— Dotrzymałaś słowa? — pyta chłopiec.

Dziewczyna po krótkim wahaniu:

— Tak, powiedziałam, że byłam na spacerze.

— Czy dostałaś burę?

— Nie.

— Widzisz! Najlepiei mówić prawdę.

— O, tak! — przytwierdza panienka i zlekka się rumieni. Bardzo lekko....

Przetł. Ż.

TAJEMNICZA SPRAWA.

Siedząc na łatwie oskarżonych, Klaudyusz Bardin, odświętnie ubrany, przysłuchiwał się obojętnie rozprawom sądu przysięgłych.

Był to stary wieśniak, o błyszczących oczach i pomarszczonej twarzy. Wyraz jego fizyognomii był twardy i podstępny. Na pytania przewodniczącego odpowiadał głosem słabym, ale pewnym. Nigdy oczy jego nie patrzały wprost na pytającego, a plecy zgarbione były nie tyle ze starości, jak przez usiłowanie zwracania na siebie jak niemniej uwagi.

Był on oskarżony o zabicie żony, a w tak wyjątkowych warunkach, że proces jego budził wielkie zainteresowanie. Zbrodnia jego, jeśli był winnym, została spełnioną z potwornem wyrafinowaniem, ale niepodobnem było dowieść jej stanowczo, gdyż fakta można było różnie tłómaczyć.

Sam przyznawał bez trudności, że na-

kłonił żonę, aby sobie z nim razem odebrała życie. Poczynili wspólnie wszystkie straszne przygotowania. Ona pozatykała szmatami wszelkie szpary, podczas gdy on rozpalał węgle w piecyku na środku pokoju. Potem oboje położyli się na łóżku, obok siebie, w oczekiwaniu śmierci... Ale zanim stracił przytomność, Klaudyusz Bardin zdołał się zaczołgać do niewidocznej szpary, znajdującej się przypadkiem w spojeniu okna i odetchnął głęboko świeżem powietrzem. Gdy zawołał o pomoc, wybiwszy szybę pięścią, było już zapóźno. Żona jego uległa zaczadzeniu.

Zachodziło pytanie, czy działał z rozmysłem, czy nagle pod wpływem instynktu zachowawczego.

Świadkowie jednozgodnie przedstawiali starego wieśniaka jako skąpca, który żonie wymawiał każdy kęs chleba. Biedaczka ociemniała i nie mogła mu już pomagać w pracy, tak, jak dawniej. Sądzono, że jest zdolnym do wszystkiego prócz dobrych uczynków, ale nikt nie mógł go wyraźnie oskarżyć.

* * *

Przewodniczący rozpoczął badanie:

— Wmówiliście w waszą żonę, że była dotknięta nieuleczalną chorobą?

— To było prawdą. Cierpiała na oczy. Lekarz mówił, że mogła z tego dostać pomięszania. Nie mogła już pracować, a ja się starzeję...

— Uważaliście, że to za wielki ciężar żywić osobę niepożyteczną?

— Jak pan może tak mówić, panie przewodniczący? Byłem zawsze dla niej bardzo uważającym. Pielęgnowałem ją, jak mogłem, kupowałem jej lekarstwa. Ale wreszcie życie stało się nieznośnem i wtedy pomyśleliśmy o śmierci...

— Które z was dwojga powzięło tę myśl?

— Ja. Mówiłem często: "Tak dłużej trwać nie może, trzeba raz skończyć!" Wtedy, pewnego dnia, powiedziała mi: "Nie opuszczaj mnie, skończymy oboje razem."

— Odpowiedzcie mi, co zaszło potem, gdy położyliście się obok żony, w starannie zamkniętym pokoju?

— Przysięgam, że miałem zamiar zakończyć życie razem z mą starą. Dopie-

ro, gdy poczułem, że słabnę, zawlokłem się do okna. Chciałem je otworzyć, panie przewodniczący, lecz nie miałem już tyle siły. Wyrwałem zębami zatyczkę ze szmat i oddychałem przez tę szparę, nie wiedząc, co czynię. Był to instynkt, pan rozumiesz! Gdy odzyskałem przytomność, wybiłem szybę, ale było już za późno. Oh, moja biedna stara! I teraz mnie posądzają, że ją zabiłem... To nieprawda, panie przewodniczący, to nieprawda, oto wszystko, co mogę powiedzieć!

Pomimo wszelkich pytań, jakiemi go obrzucono, nie chciał odstąpić od swego opowiadania. Napróżno przewodniczący starał się zawikłać go w sprzeczne zeznania, odpowiedzi jego pozostały do końca te same, co przy pierwszem badaniu i nie okazał więcej obawy przed trybunałem, jak przed sędzią śledczym.

*

* *

Po przesłuchaniu świadków główny prokurator wstał aby wypowiedzieć oskarżenie. — Streścił wszystkie posłuchy, uwydatnił niepewności i oświadczył, że

z powodu ciemności tajemnicy, otaczającej tę sprawę, odstępuje od żądania zasądzenia Klaudyusza Bardin. Lecz obróciwszy się do oskarżonego, rzucił mu następujące słowa:

"Klaudyuszu Bardin, prawo ludzkie niema mocy ukarania pewnych utajonych zbrodni. Ale zbrodnie te nie pozostają bezkarnemi. Umarli mszczą się sami na swych zabójcach. Jeśli jesteś winnym, nie unikniesz pokuty. Pozostawiam was wyrzutom własnego sumienia. W sercu własnem znajdziecie kata, który wam nie da spokoju, ani radości. Sen wasz będzie przerywanym żałobnemi widmami i żyć będziecie jako ofiara zgrozy, dopóki was nie wyzwoli śmierć, albo wyznanie winy."

Uroczystem milczeniem przyjęto tę niespodziewaną przemowę.

Aby nie osłabić głębokiego wrażenia, jakie sprawiła, adwokat Bardina zrzekł się wypowiedzenia obrony i pozostawił rzecz sprawiedliwości sędziów przysięgłych.

Po krótkiej naradzie przysięgli wydali wyrok uniewinniający. Gdy przeczytano

wyrok, Bardin wyprostował się; w oczach jego zabłysnął płomień wnet przytłumiony, ale żaden muskuł jego twarzy nie zadrżał.

*

* *

Wieczorem wysiadał z pociągu na tymsamym małym dworcu, z którego wyjechał pomiędzy dwoma żandarmami.

Przesuwając się pod murami, przeszedł przez miasteczko. Dom jego znajdował się na przeciwnym końcu miejscowości, wśród pola, niezbyt oddalony od drogi.

Gdy otworzył drzwi, uderzył go podmuch wilgoci; okna nie były otwierane od dwóch miesięcy... Było to wśród zimy, wewnątrz więc panowało powietrze sklepowe. Bardin otworzył okiennice, rozpalił ogień, przyniósł sobie wina i odczepił szynkę z belki. Odczuwał potrzebę jedzenia i picia, ażeby módz walczyć z zimnem nocnem i obawą samotności.

Na dworze dął wicher, fale jego szalały naokoło domu, a zgrzyt chorągiewki na dachu złowrogo się rozlegał.

Po wypiciu drugiej butelki wziął lampę i poszedł do swego pokoju. Na środku

schodów podmuch wiatru zgasił mu nagle światło. Przeląkł się, lecz prędko odzyskał zimną krew; zapalił znowu lampę i szedł dalej, pogwizdując.

Po raz pierwszy oglądał znów miejsce zbrodni. Nie doznawał żadnego wyrzutu sumienia przed tem łóżkiem, na które przed dwoma miesiącami położył się obok żony, aby ją nakłonić do śmierci. Rzucił się na nie w ubraniu, zgasił lampę z oszczędności i niebawem popadł w sen ciężki, gorączkowy.

Nagle przebudził się. Zdawało mu się, że jakaś ręka chwyciła jego rękę. Podniósł się na łóżku, natężył słuch, a oczyma rozszerzonemi przez trwogę starał się przeniknąć ciemności. Jakiś lodowaty oddech musnął jego twarz — zadrżał.

— Umarli mszczą się na żywych — szepnął, przypominając sobie słowa prokuratora.

Byłby chciał zapalić światło, ale obawiał się poruszyć... Długo przesiedział na łóżku... Zdala w polu wył pies, a wśród wichru odzywały się jakieś dziwne głosy... Nagle posłyszał trzykrotne stuknięcie w szybę.

— Przebaczenia! — zawołał, robiąc znak krzyża i zamknął oczy w oczekiwaniu jakiegoś okropnego widzenia.

Gdy je znów otworzył, ujrzał żonę, siedzącą przy łóżku, z oczyma utkwionemi w niego. Twarz jej była jeszcze zsiniałą od zaczadzenia, a źrenice miały fosforyczny blask.

Zaczął błagać:

— Łaski! łaski!..

Stara nie poruszyła się i wciąż dziwnie się w niego wpatrywała. Wtedy zerwał się z łóżka, uciekł z pokoju i pobiegł jak szalony do ogrodu.

Nazajutrz, z brzaskiem dnia, najpierwsi przechodnie, wychodzący z miasteczka, znaleźli starego Bardina powieszonego na gruszy przed drzwiami jego domu.

PRÓBA.

Filadelfia. Po dniu upalnym słodko, łagodnie podnosi się wzdłuż pni drzewnych mrok szary. Świeżym, wilgotnym powiewem płyną ku tarasowi wspaniałego ogrodu wonie róż, bzu i gwoździków, niewidocznych już u brzegów gazonu. Służący podnieśli jedwabną markizę i panna Judyta Aster, wpół leżąc na bujającym się fotelu, patrząc w niebo, mieniące się szafranem i purpurą, słucha opowiadań hrabiego de Charney.

Biała, płócienna suknia, ozdobna kosztowną irlandzką koronką, otula kształtną młodą pierś i falistemi miękkiemi fałdami, jak odwrócony kielich kwiatu, spływa ku drobnym, białoobutym nóżkom.

Nieregularne rysy, usta trochę zaduże i śpiczasty podbródek czynią ją nieładną.

W rozmowie z panem de Charney głos

jej dźwięczy trochę ostro, oddzielne sylaby zaznaczają się dobitnie.

Siedzący w pobliżu Leon de Charney, wysoki, szczupły, o żywem spojrzeniu z pod trochę zmęczonych powiek, o włosach przerzedzonych, ma w sobie ową spóźnioną energię ras bardzo starych.

Mówiąc o Paryżu, o teatrze, modach, bulwarach, o wszystkiem tem wreszcie, co dla Francuza i Paryżanina świat stanowi, myśli pocichu o losach, co go do Filadelfii przygnały, o swem przeznaczeniu, które mu kazało asystować tak gorliwie córce Percy'ego Astera, jednego ze słynnych królów cukrowych w Ameryce.

Trzydziestopięcioletni, zdążył już roztrwonić ojcowiznę, spadki po dwóch wujach i starej kuzynce, by się wreszcie obudzić z przedpokojem pełnym natrętnych wierzycieli.

Chwilę myślał o tem, by się im wymknąć na zawsze, był bowiem zupełnie sam na świecie i śmierć jego zasmuciłaby zaledwie kilku dalekich krewnych.

Lecz samobójstwo zdawało mu się wstrętnem, godnem jakiegoś zawodowego gracza lub awanturnika. Posłuchał więc

rady głównego wierzyciela, Izaaka Dietricha, który mu proponował pozłocić tarczę herbową Charney'ów. W Ameryce nie brak bogatych dziedziczek, czekających na legendowego księcia.

Izaak Dietrich miał właśnie stosunki z Percym Asterem. Wiedział, jak ceni tytuły; jeśli więc hrabia wziąć się do rzeczy potrafi, zdobędzie wkrótce ojca i córkę. De Charney zgodził się próbować szczęścia; odczuł w sobie ducha dawnych przodków, awanturniczych żeglarzy czy wojowników, zbierających sławę we wszystkich stronach świata.

Pojechał, zaopatrzony w listy polecające i w pieniądze, które kredytował mu Izaak do tego interesu.

Przyjęcie było serdeczne i od dwóch tygodni Leon de Charney przebywał z godzinę dziennie w towarzystwie panny Judyty Aster. Wprawdzie nie było jeszcze między nimi wielkiej sympatyi: Miss Judyta trzymała się trochę zdaleka i nieufnie, de Charney zaś czuł się czasami niezręcznym wobec młodej dziewczyny, której gwałtowność wprawiała go w zdumienie, a szczerość żenowała niekiedy.

Dnia tego jednak Judyta zdawała się być życzliwie usposobioną, uśmiechała się chętnie i milej, niż zwykle. De Charney zrozumiał, że chwila ta mogła być pomyślną i łagodnie, owijając się mgłą niedomówień, zaryzykował oświadczyny.

Przyjęto go bez zdziwienia. Miss Judyta przyglądała mu się chwilę w milczeniu.

— Hrabina de Charney — rzekła — nazwisko ładne...

— Wolno mi więc mieć nadzieję?...

Pochylił się ku niej. Powstrzymała go gestem.

— O, wszak ja nic nie powiedziałam... Ojciec mówił mi o panu... Byłby zapewne rad z tego małżeństwa...

— A pani, panno Judyto?

— Ja, nie wiem jeszcze... Jest pan tak dalece rasowo różnym odemnie, że się go prawie obawiam... My, my jesteśmy uczciwi, energiczni, niemal brutalni... Wy zaś chytrzy i tyle macie różnych sposobów czarowania, że trudno się rozejrzeć, co one kryją... Nie wiem więc, czy mogę wierzyć słowom pana...

— Powinna pani, panno Judyto i jeśli pani mówię, że ją kocham...

— Zna mię pan od dwóch tygodni...

— Francuz nie potrzebuje tyle czasu, by się zakochać... Lecz, co mam uczynić, by tego dowieść? Niech mię pani podda próbie...

— Ach tak! próbie, doskonale — rzekła Judyta, klaszcząc w ręce...

Zastanowiła się chwilę, potem rzekła krótko:

— Mam już... Spędzi pan dwa miesiące w zakładach mego ojca... Chcę mieć męża nietylko utytułowanego, lecz pełnego energii, inteligencyi, któryby mi pokazał, że nie pogardza pracą, źródłem mego pochodzenia... Zgoda?

Leon de Charney skrzywił się lekko, lecz w oczach stanął mu Izaak Dietrich i zasady jego wierzycieli. Zresztą miss Judyta patrzyła nań z tak pogardliwie impertynencką minką...

— Zgoda — odparł.

W progu tarasu ukazał się Percy Aster. Córka naprędce opowiedziała mu wszystko. Od dnia następnego wstępował hrabia Leon de Charney do biura przyszłego

teścia, z pensyą trzystu franków miesięcznie.

Pierwszy tydzień był ciężki. Dla dodania odwagi musiał Leon de Charney przypominać sobie wciąż miliony panny Aster i wymagania Izaaka. Powoli jednak dokonywał się w nim przewrót.

Odkrywając nieznane światy, ujrzał narodziny nowego człowieka. Obszerne warsztaty, napełnione tłumami pracowników, dawały mu miarę nicości życia jego, pełnego nadużyć i zbytku, i zamiast dawnej, lekkiej pogardy dla Percy'ego Astera podziwiać w nim zaczął zdolność stworzenia i kierowania tak olbrzymim i delikatnym mechanizmem. Paryż, bulwary, wszystko, co zdobiło dawne jego istnienie, zdawało się teraz pustem i niepotrzebnem; zrozumiał nagle piękność osobistego wysiłku, którego przykład dawali mu wszyscy w tym hałaśliwym grodzie.

Percy Aster winszował mu, a panna Mary Jobuson, młoda stenografistka, pracująca w jego biurze, wynagradzała go najwdzięczniejszym uśmiechem. Panna Mary była delikatną blondynką świeżą,

niby kwiat, wczesnym rankiem rozkwitły. Przy niej zapominał Charney chętnie o miss Judycie, milionach i wierzycielach.

Gdy po upływie dwóch miesięcy prosił o chwilkę rozmowy z panną Aster, przyjęła go na woniejącym tarasie. Zaledwie go ujrzała, klasnęła w ręce, wołając..

— Widzę teraz, że się próba udała.. Bardzo się cieszę...

On jednak wyglądał jakby zażenowany, chwiejny. Młoda dziewczyna uśmiechnęła się złośliwie.

— Drogi panie, nie śmie pan przyznać się przedemną... Nie zostanę nigdy hrabiną de Charney.

Spuścił głowę w milczeniu. Ona zaś mówiła dalej:

— Tak, to bardzo dobrze... Mą pan racyę, żeniąc się z tą wdzięczną Mary Jobuson, którą pan kocha i która pana kocha.

Patrzał na nią zdumiony.

— Zgodziłam się widywać pana, tylko by zrobić przyjemność ojcu; wiedziałam jednak, co czynię, wysyłając pana

"w życie." My się nie kochamy i pobierając się ze sobą, zrobiliśmy "niebardzo ładnie," jak mówią we Francyi... Tymczasem teraz będzie pan szczęśliwy, a ja wyjdę za kuzyna mego Joe, którego kocham od dwóch lat...

Zaczerwieniła się lekko.

— Gdyby próba się nie udała — odrzekł — gdybym został takim, jak byłem.

— O, znalazłabym inny sposób. Ale pan jest uczciwy, dziękuję panu.

Podała mu rękę. Ścisnął ją myśląc: "Do dyabła! Paryż, niech wierzyciele moi sami dają sobie radę! Szczęście moje jest tutaj. Zostaję..."

— Cóż — zapytał Persy Aster już eście się porozumieli?

— Tak, ojcze. Pan de Charney zawiadamia nas o swych zaręczynach z panną Mary Jobuson... Czy mogę, ze twoją zgodą, zawiadomić go o moich z Joem?

— Oh! — zawołał Percy Aster, przyglądając się im kolejno. Wyciągnął do nich obie ręce.

— *All right!*

Louis Payen.

DLACZEGO JASIEK SIĘ ZABIŁ.

— Jakbyś Jasiu — zapomniał o mnie — ja nie wiem — chyba w jasnem źródełku wypłakałabym swoje oczy — chyba ciemna nocka zgryzłaby moje życie.

— Jasicku! mówili mi, że we wojsku nękają naszych chłopaków, pilnujże się i Świętej Panience się poleć, ja Jej prosić będę co niedzielę. Na maj uzbieram fijołków, natargam bzu, pod święte nóżki rzucę, przywrę gorącemi wargami do zimnej kamiennej posadzki i o zlitowanie, o siły i moc wytrwania modliła się będę. Tobie będą grać trąbki, a ja słuchała będę co o Jasicku moim szeptają smukłe topoli gałązki, szerokie brzozy i lipy. Na lato jak słoneczko po północku świtem leci w nasze strony, na rosę białą pójdę, na mgiełkę smętną pożalić się na tęsknotę i smutek.

— A tam Jaś mój wstaje i konika

wyprowadza, gładzi grzywkę i za chorągiewką żenie.

— Miły Boże — taz chyba oszaleję z udręki. Choć na święta przyjedź, pójdziemy na sumę razem, ja przy wojacku ładnym, będą nam się ludzie dziwowali, a szeptać, a dumać. Szabelka u boku brzęka, mnie szumią spódnice i wstążki u włosów.

— Jaś opowiada o mieście dalekiem, o ludziach innych, a ja cała jak w tęczę zapatrzona, w mego Jasia kochanego.

— Ej, płakać też będzie serce z radości, ale też i ze złości, że wnet odjedzie.

— Takie długie te trzy latka. Ale się nie bój Jasiu, ja codzień będę twego powrotu tęsknie wypatrywać i rachować godziny i dnie.

— A jak wrócis już na piekne?...

— Jaka ja głupia, pletę i pletę, jakbyś już przyszedł.

— Jasiu, a nie zapomnij o swej jaskółce, nie zapomnis? no powiedz mi, ale na ucho, powiedz mi kilka razy, żebym uwierzyła i wiedziała zawdy.

Jasiek smutny i świeczki w oczach

mu stały, potwierdzał, upewniał, sumitował się.

— I poszedł Jaś, z pod Męki Pańskiej na gościńcu rozstali się. Hance ciurkiem kapały łzy z oczu, Jasiek osowiały klął na wojsko, na szablę, na spodnie czerwone i cudzą szkapę.

— — — — — — — — — — — — — —

Dali mu karabinek, szeroką szalę, mundur trochę nieprzylegający i dwa konie do czyszczenia.

Jasiek z końmi był obeznany, bo u ojca para była i źróbki duże.

Karabinu nie znał, a miasto niego miał w chałupie gibki bat i niezgorszą rzemionkę.

Munduru także nie nosił, ale za to miał buty z organkami na cholewach, zielony kapelusik z piórkiem i stroikami, wyszywaną koszulę z koronkową kryzą i koralową spinką, suty kaftan i pas z gwoździami mosiężnymi, tudzież czerwony kabat ze złotymi guziczkami we dwa rzędy.

Póki dzień był, nabierał rezonu, klął za innymi, odgrażał się, nawet nie wiedział komu, jeździł na "rajtszuli" ostro,

bratał się z kolegami i jak mógł dawał poznać, że humor go nie odleciał, jak wielu innych, że sobie da radę, że okpi siebie nawet i swoje sumienie.

Ale kiedy zapadła noc, casprzyk otrąbiono, a on został na "sztalwachu," wracały mu zgoła odmienne od dziennych obrazy przed oczy.

Zdawało mu się, że zwiózł ziemniaki kopane za dnia do chałupy i razem z rodziną zesypuje w kopce i do piwnicy. Konie już odprzągnięte, wiedzie do napoju, a stamtąd do stajni, podsypuje im obrok na noc, by rano miały swoją siłę i przemyśliwa, jakby wyrwać się z domu a polecieć do Hanki. Już jest u niej. Po drodze spotkał się ze Staszkiem Sobolowym, ale o tem nie wspomina i nie myśli, bo zajęty rumianą i ładną buzią jak i lnianymi włosami.

Przestąpił próg, chwali Boga, całuje w rękę ojców, proszą go, siada, Hanka gotuje z matką wieczerzę, zastawiają ławkę, wołają go, wymawia się, wreszcie dziewczyna mu grozi palcem, bierze łyżkę, żegna się i je. Hanka napastuje go, niby zbiera z przed niego omaszczone

ziemniaki, ale jucha dodaje jeszcze lepszych i mleka więcej dolewa. Przekomarzają się, żartują, godzina późna, Jasiek wraca do domu.

Tęskno młodemu żołnierzowi, duchem by uciekł z kasarni, ale za to garnizon.

Aż go ciarki przeszły.

— "Paradny zamys" — myśli — "ino powróz na szyję i szukaj dobrej i świeżej gałęzi."

"A potem, huś, huś, odetną, powrózkiem się podzielą, jako że są ludziska chciwi na sznur wisielca. Hanka topi się w stawie, a on gorze w piekle."

— Otrzepało go — wstał — przeciągnął się i zaczął przechadzać się po stajni.

— — — — — — — — — — — — — —

— Z miasta gwar ucieka, cichnie świat z dala turkot wozu, coraz dalej i dalej i zupełna cisza.

— — — — — — — — — — — — — —

Coś za sześć tygodni Jasiek dostał list od Hanki. Pisała mu, że jego ojce dali na mszę jak poszedł, ziemniaki pokopane i wszyscy we wsi posiali, wyżynki odbywają się godnie i wesoło, że u niego w do-

mu wszyscy zdrowi i że ona zdrowa, ino posmutniała i zgorzkła.

Na samym końcu czytał:

"Jasicku! jak se czasem pomyślę, że Cię tyle dni i miesięcy nie będę widzieć, nie napieszczę się twemi modremi oczyma, to aż cierpnę. Takiś mi się stał jedyny i umiłowany gorąco, że słonko bez ciebie słabiej świeci, że kwiatki pobladły, a woda na stawidłach smutniej i bardziej ponuro szemrze. Śpiewam ja se wieczorami sama, żeby żal odpędzić i zawsze napłakałam się ino tyle. Zabaczyć o Tobie, parobecku mój wierny, to chyba umrzeć przedtem i iść na męki wiekuiste.

Posyłał od wójta z trunkiem Wojtek — alem mu odpedziała raz na zawsze — oni wszyscy przy Tobie — jak pokrzywa przy polnym maku.

A teraz nie będę Cię trudzić i skończę ten liścik, przedtem jesce pozdrawiam Cię pięknie i choć ludzie mówią, że to grzech, ale bym Cię całowała bez końca, jakbyś był przy mnie, tymczasem na papierze.

Twoja do grobu Hanusia."

— Jasiek aż potniał z uciechy i radości. Oglądnął kilka razy list, pismo, co dzień jak dopadł czytał, dziwował się Hanusinej rezolutności i ogromnie, a ogromnie tęsknił.

— — — — — — — — — — — — — —

— Odpisał na niego — ona mu odpisała — i tak było bez mała rok. Jakosik w lecie od dwóch miesięcy nie dostał listu.

— Czekał i niecierpliwił się, martwił się niezgorzej i czekał.

— Rozmyślał nad powodami milczenia, obwiniał siebie, że w ostatnim liście nie dość razy pozdrowił ją i serdeczności mało pisał.

— Tymczasem życie jego biegło jednym trybem, sprawował się porządnie, jeździł dobrze, pojętny był i zdatny ułan.

— Już się zupełnie uspokoił, bo spodziewał się, że może list gdzie zaginął i... wyczekiwał następnego.

— Już i nowi rekruci przyszli, a Jasiek nie miał żadnej z domu, ni od Hanusi wiadomości.

Aż pewnego dnia z kancelaryi kasarnianej przyniesiono mu list.

— Popatrzył na pismo, poznał rękę siostry.

Otworzył list i czytał:

"Nasz drogi Jasiu!

Nie dziwuj się, że tak długo my do Ciebie nie pisali, ale to widzisz roboty u nas letnie, siana, żniwo, potrawy, kopania.

Pozbierali my ładnie, ino że mokra były — tak nam na nizinie pogniły ziemniaki. Zreśtą zdrowi my wszyscy w domu, tata sprzedali karego i zostawili se tylko starą, bo pedają, nie ma kto chodzić wedle tylorga. Józiek jus chodzi do szkoły, bieda bez niego, bo nie ma kto popaść. U nas teraz piękne dni, suche i ciepłe.

Napisz nam jak ci się powodzi, czyś zdrowy i kiedy zajrzys do domu. Więcej nie mamy Ci co pisać, jak tylko pozdrawiamy Cię wszyscy w domu mama, tata, ja, Józiek i Baśka i całujemy.

Bywaj zdrów i niech Cię Bóg ma w swojej Opiece

Twoja siostra Zośka.

Aha, byłabym zapomniała — temi dniami było wesele wójtowego Wójtka z Hanusią — coś do nich chodził.

Zośka."

— — — — — — — — — — — — — —

Jasiek zdrętwiał, chwilę stał bez ruchu, blady, z oczami stężałemi, bez myśli.

Tępy ból szumiał mu w głowie, wargi ściśnięte, zwarte szczęki. Powoli przychodził do świadomości, spojrzał przed siebie, ułani wyprowadzali konie ze stajen, poszedł za innymi.

— "Hanki nie ma" — brzmiało mu w uszach — jak muzyka pogrzebowa — Hanka przepadła —jak wczorajszy dzień, jak śmierć.

Pogasły latarnie w kasarni. W sali gdzie żołnierze spali, Jasiek siedzi ponury i myśli.

Już dziesiąta godzina, a on nieruchomy, straszny, tkwi na łóżku.

— Ocknął się — patrzy — słucha oddechu śpiących.

Przekonał się — wszyscy śpią — cicho zdejmuje karabin z kółka.

"Hanka przepadła" — cichy szept skądś z daleka — słyszy muzykę weselną — czepiny — suchy trzask cyngla, huk wystrzału i Jasiek padł zlany krwią na białą podłogę kasarni.

— — — — — — — — — — — — — —

Na poprawinach u Hanki grali.

Jakiś drużba za oknem śpiewał:
"Jadą ułani — jadą ułani po błoniu
I mój Jasienku — mówi dziewczyna —
na koniu."

HISTORYA JAKICH WIELE.

(Kartka z życia).

We wspaniałych salonach państwa X. płoną rzęsiste światła; liczna służba snuje się tu i owdzie, roznosząc herbatę lub chłodzące napoje, goście strojni i rozbawieni gwarzą wesoło o wypadkach bieżążących, literaturze i sztuce...

Przy kilku zielonych stolikach panowie grają w karty, pomiędzy nimi znajduje się i sam gospodarz. Jest to niemłody już, poważny człowiek, ojciec licznej rodziny, powszechnie szanowany i zajmujący w społeczeństwie niepoślednie stanowisko; zarzucają mu tylko jednę wadę: namiętność do kart.

Do stolika wraz z ojcem zasiadł dziś po raz pierwszy najstarszy jego syn Stanisław; w tym roku właśnie ukończył gimnazyum i włożył mundurek studencki; ucieszony ojciec, kierując go tym sposobem na dorosłego mężczyznę i wie-

dząc, że chłopcu zrobi przyjemność, zaprosił go do. gry...

Na twarzy młodzieńca, otwartej i nieprzywykłej co maskowania wrażeń, odbijają się wyraźnie wszystkie uczucia, jakie przepływają zmienną falą przez jego niezepsutą duszę: a więc niepokój, radość, przygnębienie i chciwość kładą na niej po kolei swoje piętno.

Do grających zbliża się pani X.

— Stasiu, mój drogi, możebyś porzucił już te karty i poszedł bawić panienki, i tak młodzieży brak; nie wypada, żebyś się usuwał od obowiązków wice-gospodarza.

— Dobrze mamusiu, zaraz przyjdę, — muszę tylko skończyć tego robra.

I grał dalej, niestety, aż do rana...

. . . .

Rzecz dzieje się w pięć lat później, w Monaco.

Pan Stanisław skończył już uniwersytet i zyskał tytuł lekarza. Ożenił się z młodą, ładną i bogatą panienką i, udawszy się z nią w podróż poślubną, uległ swojej namiętności do hazardu i przyjechał tutaj spróbować szczęścia.

Na grę przeznaczył paręset franków i dał słowo żonie, że jeżeli przegra tę sumę, natychmiast wyjedzie...

Siedzi więc obecnie w sali gry i co chwila zgarnia napływające do niego złoto...

Dziwny widok przedstawia ta sala... Około ogromnego stołu siedzą mężczyźni i kobiety z rozpłomienionemi twarzami i chciwością pałącemi się oczyma, rozdrażnieni, niecierpliwi, oddychający spiesznie, jak w gorączce...

Krupierzy długiemi drewnianemi grabkami zgarniają złoto. Salę zalega cisza, przerywana tylko głosem prowadzącego grę bankiera.

"Rouge!" "Noire!" woła on co chwila — i twarze grających zasępiają się, lub rozpromieniają, stosownie do treści wyroku.

Pan Stanisław wygrywa dotąd stale... Powodzenie zachęciło go, oddzielił przeto wygrane pieniądze i połowę postawił na "Noire!".

Po chwili przegrał kilkaset franków. Postawił drugą połowę — i znów przegrał.

Niepowodzenie zirytowało go!... postanowił nie zmieniać koloru i tym sposobem doczekać się nareszcie wygranej.

Postawił znowu sto franków — i wygrał... To go zachęciło — postawił przeto wszystko co wygrał i pięćset franków, które przeznaczył na grę... Czekał z niecierpliwością na rezultat gry i... przegrał...

Chciał już wyjść z sali, ale żal mu było przegranych pieniędzy, więc wyjął jeszcze pięciofrankówkę i postawił ją na "Rouge." Wygrał... Podwoił stawkę... Wygrał znowu... W przeciągu pół godziny było już wygranych kilka tysięcy franków. Zdenerwowanie jego zaczęło wzrastać, a z niem razem i chciwość... Przestał panować nad sobą — i w kilka godzin przegrał nie tylko cały swój majątek, ale i posag żony...

A ona czekała na niego w hotelu, nie podejrzywając nieszczęścia, jakie ich spotkało.

. . . .

Pan Stanisław, opuściwszy salę gry, wyszedł do ogrodu... W głowie mu huczało, przed oczyma wirowały ogromne czerwone koła...

— Co począć teraz, co począć? — powtarzał w duchu. — Jak powiedzieć żonie o zbrodni, którą popełniłem.

"Złodziej, złodziej!" — zasyczał mu nad uchem głos jego sumienia...

— Nie, nie, to niepodobna!... Ja przegrałem cudze pieniądze, ja własnemi rękoma wykopałem przepaść pod nogami mojej żony... Ja!...

I zrozumiał w jednej chwili, że nie potrafi żyć z podobną hańbą...

— Trzeba skończyć tę mękę — szepnął sam do siebie i sięgnął do kieszeni po mały rewolwer, jaki nosił z sobą zawsze. — Trzeba skończyć... — powtórzył i przyłożył lufę do skroni.

Rozległ się strzał i młody człowiek padł z roztrzaskaną głową.

....

I oto społeczeństwo straciło znowu jednę pożyteczną jednostkę ;przepadło życie, pełne najświetniejszych nadziei; przybyła znowu jedna nieszczęśliwa kobieta, dotknięta zawodem w kwiecie lat, w rozkwicie sił i piękności...

O, nierozważny ojcze, czemuś młodego syna zabił swym własnym przykładem?

MOWA KWIATÓW.

Niema podstępniejszych ludzi jak rywale. Rywal to wróg śmiertelny, walczy wszystkimi środkami, a gdy mu los szczęśliwy sprzyja, wprowadza w dom swój ukochaną...

Wraz z Władkiem Flirteckim, ubiegałem się o względy najpiękniejszej dziewoi całego miasta. Zupełnie jak przy aukcyi, prześcigaliśmy się wzajemnie w komplementach i grzecznościach; jeśli przeciwnik mój powiedział "łaskawa Pani," to ja z mej strony dodawałem zaraz "najłaskawsza Pani," a wtenczas Władek wołał " najmiłościwsza Pani."

Mania Krasawicka przyjmowała usłużność naszą i hołdy z nadzwyczajną obojętnością, jak zwykły postępować rozpieszczone panienki.

Dnia jednego była milszą niż zwykle rzekła patrząc zalotnie na Władka:

— Dzień jutrzejszy jest świętem dla mnie, zgadnijcie, dlaczego?

— Mama łaskawej Pani urządza jutro przyjęcie.

Mania wstrząsnęła główką.

— Ojczulek otrzymał z pewnością jakieś odznaczenie?

— Głupstwo! Niechże Pan zgadnie! tu spojrzała słodko w moją stronę.

Szybko westchnąłem do Ducha świętego i odrzekłem:

— Łaskawa Pani obchodzi jutro swe urodziny.

— Brawo, zgadł Pan!

Mania klasnęła w rączki, a Władek ze złości stąpnął silnie na wielki palec mej nogi, tak że zaświeciły mi światłości niebieskie.....

— Niechże teraz panowie zgadną, ile lat skończę z dniem jutrzejszym?

Mania patrzyła przytem na mnie tak mile, że serce me gorzało z wielkiej radości.

W radości tej nie zdobyłem się na odpowiedź, i Władek uprzedził mię, nim przyszedłem do słowa.

— Siedemnaście.

— Źle, niechże Pan zgadnie!

— Najmiłościwsza Pani,delikatność nie pozwala mi dać wobec tak poetycznego sekretu odpowiedzi prozaicznej. Jutro jednakże pozwolę sobie Pani przysłać tyle pączków róż, ile wiosen życia Pani już prześniła, to będzie rozwiązaniem zagadki.

— Prześlicznie, cudownie! Pan jest dzisiaj niezrównany, pomysł Pana bajeczny, poprostu bajeczny. Nie obejdzie się też bez nagrody za tę "mowę kwiatów."

I podając mi rączkę do ucałowania, patrzyła na mnie obiecująco.

— I ja także zgadywać będę, a kto lepiej zgadnie.... otrzyma......

— Nie, nie, mój Panie, Panu nie wolno zgadywać, Pan nie jest twórcą pomysłu.

Ostrożnie wycofałem nogi z pod stołu, gdyż sądząc po minie Władka, gotów mię był ugodzić śmiertelnie.

— Lecz gdy tylko jeden z nas podejmuje się rozwiązania zagadki, nie przedstawia to nic ciekawego, a ja z prawdziwą przyjemnością złożyłbym u Pani stóp najpiękniejsze dzieci "Flory."

— A ja rezygnuję z tego.

Były to słowa okrutne.

Poszliśmy więc oboje, ja jak tryumfator z promieniejącą twarzą, Władek jak obity sextaner.

* *

Przed składem kwiatów rozstaliśmy się. Wszedłem do kwiaciarni i wyszukałem 18 najpiękniejszych róż.

— Róże te proszę wysłać jutro o godzinie 8-mej rano do p. Maryi Krasawickiej, ulica Teatralna 8. Opakowanie ma być jak najwspanialsze, mniejsza o koszt, rachunek proszę przysłać na moje nazwisko.

Młodzieniec, obsługujący mię skłonił się kilkakrotnie i obiecał jak najlepsze wykonanie zamówienia.

* * *

Tymczasem Władek obmyślał ponure plany zemsty. Wieczorem miał już pomysł gotowy i udał się do składu kwiatów, w którym to zamówiłem róże dla pięknej Mani.

— Czy przyjaciel mój zamówił dziś rano 18 róż dla p. Maryi Krasawickiej?

zapytał z najniewinniejszą miną pod słońcem.

— Owszem, jutro wyślemy róże punktualnie o godzinie ósmej. Nie opakowaliśmy kwiatów odtąd, gdyż chcemy je zachować jak najświeższe.

— Tak, to dobrze, lecz nie ma Pan może więcej róż tego samego gatunku?

— Ależ naturalnie. Ile Pan zechce. Ostatecznie każę ściąć stosowną ilość w cieplarni. Barwa taż sama. Najpiękniejsze okazy.

— W takim razie proszę dołączyć do przesyłki jeszcze z tuzin. Osiemnaście to jednak za mało. Niechże Pan więc wyśle jutro trzydzieści róż.

— Dobrze, wszystko załatwimy punktualnie, przyjaciel Pana będzie zadowolony!

— I panna Mania także! szepnął Władek, uśmiechając się szelmosko i wracając do domu w doskonałym usposobieniu ducha.

* * *

Gdy wróciłem dnia następnego w południe do domu, znalazłem ku wielkiej

mej radości liścik pachnący heliotropem z inicyałami M. K.

Hurra! oto podziękowanie za pomysł "mowy kwiatów" i z pewnością zarazem zaproszenie na urodziny, lub zaproszenie na wycieczkę, a może na herbatę wieczorem, możliwości było dużo. Z wielkiej radości chciałem sobie samemu ściskać ręce i winszować.

Drżącemi rękami otworzyłem list i przedzytałem:

Łaskawy Panie!

Nie przypuszczałam, że pozwoli Pan sobie wobec damy na żart tak niestosowny. Zrozumie Pan z pewnością, że po takiej niegrzeczności rezygnuję z dalszej znajomości z Panem.

Zresztą nie liczę lat 30, lecz 18.

Z szacunkiem
Marya Krasawicka.

Gdyby mię ojciec nagle wydziedziczył, nie byłbym więcej przerażonym. Więc to był skutek wspaniałego mego pomysłu. Odpalony! Najtragiczniej odpalony! I dlaczego?

Długo przyczyna mego nieszczęścia była dla mnie tajemnicą, dopóki z magazynu kwiatów nie przysłano mi rachunku za — 30 róż.

Memu rywalowi nie byłbym przebaczył nigdy w życiu, gdyby dziś nie był więcej pożałowania godnym odemnie, gdyby piękna Mania nie była dziś żoną... tego biedaka.

ANTEK POMIDOR Z MANDŻURYI.

Jezdem Antek Pomidor, bratanek Walentego, któ en właśnie lanie od lawirowego za zeszłotygodnowe gadanie dostawszy, moczy se antresol w kompresie i mn'e do państwa posy a. Nigdyci w gębie zardzewiały nie byłem, a osobliwie tera, kiedy z dalekiego wschodu sypialnym wagonem dla wołów z całom paradom wróciłem, z powodu chorego zdrowia urlop se wydostawszy. Jako z rodu de cwaniak pochodzący, jak mnie tylko wysłali, wkierowałem się z punktu na kamendynera osobistego krowy pana generała Stesiela i chodziłem kiele niej jak kiele rodzonej matki, ptasiego mlika nie żałujący. Wiadomo było przecie w całym obozie, że Maszka czyli właśnie tota łaciata, najważniejsza persona w pułku była, bo pan generał inszego mlika do ust nie brał, powiadając, że mu insze mliko gorszy despekt na humorze robi, niż strata całej bateryi z armatami. Żyłem se tyż, Maszkie czyli krowe pasący jak w niebie albo w niewoli u Japona; tylko, że jak raz raz przykryli mnie na polu, że wychowankie mojom na własnom potrzebe w czapkie doiłem, chciał mnie generał na śmierć zasądzić, ale potem przebaczył, dał mi tylko 8 razy w ucho i w strój czyli do szerygu przepędził i tu się dola

moja kapkie na gorsze zmieniła. Przykazano iść, łaziem se tyż w ćtery pułki, jak jakie samochody, jeść nima co, jak z bufetu generalskiego, co za nami jedzie, kawioru nie zwędzisz, to musisz kapuste zgniłom przez niczego ćpać; buty, choć podeszew z prawdziwyj dychtury mieli, porozłaziły się jak masło. Człapiem tyż prawie na bosaka, Japona szukający ze ćtery dni albo i więcej, aż przychodziem nazad na te same miejsce, skądeśma wyszli. Dopiruj, jak nasz pułkownik od generała wcire dostał, to sie zara pokazało, że sie w drogie przez mapów puścił. Zaczeli tyż szukać tych papirów, aż je naleźli w piwnicy, bo kucharz pułkownika masło nimi poobwijał, jako że na płótnie wymalowane były. Nici sie tyż z tego gipsu zrobiły i mieliśmy sie znowuj puścić w podróż na piechte, chunchuza jednego na przewodnika nająwszy. Czekamy tylko, bo mróz siarczysty trzymał, a przykaz z głównej kwatery przyszedł, żeby bez ciepłych koszulów w żadne drogie nie chodzić, zreśtom przysłali nam z intendanckiego patrony do karabinów, które kapkie za duże były i nijakiem sposobem w strzelbe nie lazły. Zebrało się więc naczalstwo i powiedziało, że już lepiej na patrony zaczekać, bo się nie opłaca w lufach większych dziurów wiercić. Leżymse w gnoju, bo słome naszom pan generał w piecu na podpałkie spalił i czekamy: przyszły nareszcie ciepłe koszule, tylko że ani jedna na chłopa nie pasowała, bo dziecinne byli. Ale jak nas uszykowali, pyta się generał: — Rubachy ciepłe mata?! — Ma-

my! — powiedamy, bo nam toto paskudztwo w rańce pokłaść kazali. — Patrony mata?! — Mamy! — To idźta z Bogiem! — Postaramy się, panie generale! I poszliśmy... Idziem, idziem, idziem, ale na piąty dzień chunchuz toten, warkoczowy syn, kamfore zrobił. Stojem tyż w polu pod lasem, drogi nie znający, aż tu naraz z samego lasu trrach! Patrze, a Wicek z Bugaju oddzielnie ode łba swojego leży i tylko lipkami zawraca! N edługo znowuż trrach, trrach! My ma sie wiedzieć nura! A tuci odrazu przed nami trrach, kawaleryja sypie! Nie wiem potem, co się stało, bom bez łeb jakąś patelnią dostał. Jakem się obudził, leże na polu jak w przytułku noclegowym, ale przyłażą sanitary z farbom. — Sierwus powiedam. — Ty brat nie gadaj nic, bo to umarlakowi nieprylicznо. — Zmykaj — powiedam — nie widzisz, że żyje! — A 10 fajgli masz? Bo inaczej, toś kipnął i do ziemi! I jużci mnie czarno znaczyć chce. Ja nie wiele myśląсy jak nie wstane, jak nie dam na odliw i w nogi. Leciałem bez tydzień cały cięg em pietra mający, żeby mnie jakie sanitary znowuż za umarłego nie wzieli, a patrze raz, świci się; podchodze, a tu siedzom Japony kiele kotła, ubrane jak grafy w kożuchy w rękawicach i wsuwajom cosić. Życie albo śmierć, myśle se, bo mi okropnie trąbizupka zapachniała, i podłaże: — Bonziur, mosie Japon, papu, bo klapne! W try miga wz eni mnie do siebie, ale mnie sie we łbie zakołkowało i dopiero obudziłem sie w lazarecie u Japonów. Niedługo potem wypisali mnie ze śpitala i

wszystkich naszych odesłal nazad do armii, bo powadali że nima dla nas miejsca, bo sie do nowej bitwy szykujom. — Poleże jśta — powedajom — a tera idźta z Bogiem, bo sie tu niedługo i tak dosyć waszych nazbira. W niedługi czas odesłali mnie z Mandżiuryi do Warsiawy i jezdem tera na wolności i by bym na pewniaka jaki mendal dostał, bo przecie sam przez boja do Japona podlazłem, tylko że akuratnie świadków wtedy nie bylo...

BIBLIOTHECA VNIV. IAGIELL. CRACOVIENSIS

Spis Rzeczy.